

Barbara Cartland

Tajemnica doliny

The secret of the Glen



Rozdział 1

1850

Leona czuła podmuchy wiatru poświstującego przez szpary wydawałoby się solidnej i eleganckiej karety.

Wichura szalejąca na wrzosowiskach była tak silna, że konie posuwały się w ślimaczym tempie. Leona czuła się rozczarowana, ponieważ poprzedniego dnia słońce świeciło jasno i przez okno karety mogła upajać się pięknem fioletowych wrzosowisk.

Podziwiała ostre szczyty odcinające się na tle nieba, a srebrzyste kaskady wpadające do górskich strumieni budziły jej dziecinny zachwyt.

„To jest nawet piękniejsze, niż mama opowiadała”, pomyślała.

Nie mogło być dla niej nic bardziej podniecającego niż znaleźć się w Szkocji. Od dziecka karmiono ją historiami o szkockiej odwadze, waśniach klanów i lojalności jakobitów wobec „króla za wodą.” Opowieści te były czymś więcej niż zwykłymi historiami o bohaterskich czynach. Dla jej matki były tak żywe, przejmujące i przepojone nostalgią, że jej głos drżał z emocji, zapadając głęboko w pamięć córki.

Dla Elizabeth Macdonald zdrada Campbellów i masakra w Gleneoe były tak świeże, jakby wydarzyły się poprzedniego dnia. Mimo że mieszkała z dala od rodzinnego kraju, na zawsze w głębi duszy pozostała Szkotką.

- Dla twojej matki, chociaż kocha mnie, będę zawsze jakimś tam Sassenach (Szkockie i irlandzkie określenie Anglików.) - zwykł mawiać ojciec Leony z uśmiechem.

Nie mylił się mówiąc, że żona go kocha. Leona nie była w stanie wyobrazić sobie, by dwoje ludzi mogło żyć w większej harmonii niż jej rodzice. Cierpieli niedostatek, ale to nie miało znaczenia. Kiedy Richard Grenville został zwolniony z wojska

ze względu na zły stan zdrowia, miał jedynie swoją rentę oraz rozsypujący się dworek w Essex, aby zapewnić utrzymanie żonie i jednemu dziecku.

Nie wkładał serca w prowadzenie gospodarstwa, dzięki któremu mieli kurczaki i jajka, kaczki i indyki, niekiedy baraninę. Nigdy nie wydawało się istotne, że nie starczało gotówki na eleganckie stroje, kosztowne pojazdy czy wyprawy do Londynu. Najważniejsze, że byli razem. W oczach Leony dom był zawsze pełen słońca i radości, mimo zniszczonych mebli i zasłon tak wyblakłych, że nie dałoby się określić ich koloru.

„Byliśmy szczęśliwi... tak bardzo szczęśliwi, aż do śmierci ojca” - pomyślała.

Richard Grenville zmarł niespodziewanie na atak serca, a jego żona nie potrafiła żyć bez niego. Usychała powoli i nawet Leona nie była w stanie pomóc jej otrząsnąć się z rozpacz.

- Chodź, popatrz na małe kurczaczki, mamó - błagała albo usiłowała namówić ją na przejażdżkę na jednym z dwóch koni, które stanowiły ich jedyny środek lokomocji.

Zatopiona we wspomnieniach, nie mogąc się doczekać chwili, gdy znów połączy się z mężem pani Grenville marniała z każdym dniem. Myśli o przyszłości nie zajmowały jej prawie wcale.

- Nie wolno ci umrzeć, mamó - powiedziała Leona wzburzonym tonem pewnego wieczoru, widząc, jak matka pogrąża się w niewidzialnym świecie, gdzie wedle jej przekonania, czekał na nią. mąż. Ponieważ jej słowa nie wywarły żadnego wrażenia na owdowiałej kobiecie dodała rozpaczliwie: - Co się ze mną stanie? Co zrobię, mamó, jeśli mnie opuścisz?

Problem ten stanął po raz pierwszy przed Elizabeth Grenville.

- Nie możesz tu zostać kochanie.

- Nie chcę zostać sama - zgodziła się Leona. - Poza tym, jeśli umrzesz, nie będę miała nawet twojej wdowiej renty na utrzymanie.

Pani Grenville zamknęła oczy, jakby uraziło ją słowo „wdowia”. Milczała chwilę i wreszcie odezwała się:

- Przynieś mi papier i pióro.

- Do kogo masz zamiar napisać, mamó? - zapytała ciekawie Leona.

Wiedziała, że mają niewielu krewnych. Rodzice ojca pochodzili z Devonshire i nie żyli od dawna. Matka urodziła się w pobliżu Loch Leven. Jako sierota wychowywała się u wujostwa, ludzi w podeszłym wieku, którzy zmarli w parę lat po tym, jak przeniosła się na południe - do Anglii. Leona sądziła, że muszą istnieć jeszcze jacyś krewni ze strony matki czy ojca, ale nigdy nie miała okazji ich poznać.

- Piszę do mojej najbliższej przyjaciółki z dziewczęcych lat - powiedziała swoim ujmującym głosem Elizabeth Grenville.

Leona czekała na dalsze wyjaśnienia.

- Jeannie McLeod i ja prawie wychowałyśmy się razem - rzekła - a ponieważ moi rodzice nie żyli, spędzałam parę miesięcy w roku w jej domu, a ona czasem przyjeżdżała do mnie. - Z oczyma ożywionymi wspomnieniami ciągnęła dalej. - To rodzice Jeannie wprowadzili mnie do towarzystwa podczas balów w Edynburgu, kiedy miałyśmy obie po osiemnaście lat. Kiedy opuszczałam Szkocję z twoim ojcem, żalowałam jedynie, że rozstaję się z Jeannie.

- Nie widziałaś jej od tamtej pory, mamó?

- Pisywałyśmy do siebie regularnie - odparła pani Grenville - ale potem, wiesz jak to jest, Leono. Zawsze odkłada się na jutro to, co powinno się zrobić dzisiaj. - Westchnęła po czym mówiła dalej. - Zawsze przysyłała mi miły liścik na Boże Narodzenie; nie dostałam życzeń, jak

sobie przypominam, na ostatnie święta. Przerwała, a potem rzekła. - Byłam taka... zagubiona po stracie twojego... ojca, że i ja nie bardzo pamiętałam o Bożym Narodzeniu.

- Nic dziwnego, bardzo to obie przeżyliśmy, mamó - przyznała Leona.

Ojciec umarł w połowie grudnia, nie było więc choinki ani prezentów. Leona nie wpuściła nawet kolędników do domu, żeby nie sprawiać matce przykrości.

- Piszę do Jeannie - powiedziała pani Grenville - prosząc, aby zajęła się tobą, gdy mnie już nie będzie, i kochała cię tak, jak mnie za dziewczęcych lat.

- Nie mów, że odejdziesz, mamó - powiedziała Leona błagalnym tonem. - Chcę, żebyś odzyskała siły i żebyśmy razem zajęły się domem i gospodarstwem.

Ponieważ matka milczała, Leona dodała po chwili.

- Tatuś życzyłby sobie tego, wiesz o tym dobrze. Byłby zmartwiony, gdyby zobaczył cię w tym stanie.

- Życie straciło dla mnie sens - odpowiedziała matka. - Twój ojciec opuszczając nas zabrał ze sobą moje serce i duszę. Jedyne, czego pragnę aż do bólu, niecierpliwie, to znów się z nim połączyć.

Słyszając rozpacz w głosie matki, Leona zdała sobie sprawę, że słowa nic tu nie pomogą. Przyglądała się, jak matka pisze list i krzyknęła zdumiona widząc, do kogo jest adresowany.

- Do księżnej Ardness, mamó? Twoja przyjaciółka została księżną?

- Tak, Jeannie świetnie wyszła za mąż - odrzekła pani Grenville. - Książę był od niej znacznie starszy i odznaczał się powierzchownością wzbudzającą postrach i szacunek.

- To właśnie wtedy zakochałaś się w tatusiu. Oczy pani Grenville zabłyśły.

- Pokochałam go od pierwszej chwili - odparła. - W mundurze był niezwykle przystojny, ale to nie tylko to. Było coś jeszcze; coś z magii. Trudno ująć to w słowa.

- Miłość od pierwszego wejrzenia! - powiedziała Leona z uśmiechem. - Tatuś często opowiadał mi, jak się w tobie zakochał.

- Powiedz mi, co mówił - ożywiła się pani Grenville.

- Wchodząc do sali balowej, czuł się raczej znudzony - opowiadała Leona. - Często bywał na tańcach i Szkotki wydawały mu się nijakie. Nie miał z nimi o czym rozmawiać. Pragnął znaleźć się już z powrotem na południu.

- Mów dalej! - nalegała pani Grenville, a jej twarz rozpromieniła się szczęściem jak twarz młodej dziewczyny.

- Wtedy tatuś zobaczył ciebie. Tańczyłaś w najlepsze z oficerem gwardii, którego dobrze znał. Spojrzał i pomyślał: „Oto dziewczyna, którą poślubię!”

- Jak tylko zaczęliśmy rozmawiać, pomyślałam, że mogłabym zostać jego żoną! - zawołała pani Grenville. - Tak jakbyśmy się poznali przed laty i teraz odnaleźli po długiej rozłące.

- Jestem pewna, że tak jest, kiedy ktoś się naprawdę zakocha - powiedziała Leona jakby do siebie.

- Sama się o tym przekonasz pewnego dnia, kochanie - stwierdziła pani Grenville. - Zrozumiesz wówczas, że wobec takiego uczucia wszystko inne traci znaczenie. Poszłabym z twoim ojcem, dokądkolwiek zechciałby mnie zabrać - ciągnęła drżącym głosem. - Pobiegnę za nim bosą do Anglii, gdyby próbował mnie zostawić.

- Nie zazdrościłaś więc przyjaciółce, że poślubia księcia? - zażartowała Leona.

- Nikomu nie zazdrościłam - odparła pani Grenville. - Byłam niewypowiedzianie szczęśliwa, cudownie szczęśliwa wychodząc za twego ojca.

- Tatuś czuł to samo.
- Wiem, że jest blisko - powiedziała pani Grenville niemal gniewnie. - Nie opuścił mnie. Nie mogę go zobaczyć, ale wiem, że jest tutaj!
- Na pewno się nie mylisz, mamó.
- Dlatego tak mi do niego spieszo. Rozumiesz mnie, kochanie, prawda?
- Staram się, mamó.
- Wyślij list! Wyślij go szybko! - nalegała pani Grenville.
- Wówczas ani ja, ani twój ojciec nie będziemy musieli martwić cię o siebie.

List został wysłany, jednak pani Grenville odeszła, aby połączyć się ze swym ukochanym mężem, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Pewnego ranka Leona znalazła ją martwą w łóżku. Na jej nagle odmłodniałej twarzy widniał uśmiech. Pochowano ją obok męża na cmentarzu obok małego szarego kościółka. Wróciwszy z pogrzebu do domu, Leona zaczęła się zastanawiać, co dalej począć.

Odpowiedź nadeszła tydzień później - nie od księżnej, ale od księcia Ardness - w liście zaadresowanym do jej matki.

Zawierał wiadomość o śmierci dawnej przyjaciółki pani Grenville. Ponadto Leona przeczytała te oto słowa:

„Skoro twierdzisz Pani, że niewiele Ci życia zostało, szczęśliwy będę mogąc gościć jej córkę u siebie, w Szkocji. Proszę przekazać Leonie, że kiedy nieszczęśliwa chwila nadejdzie i zostanie sama, może napisać do mnie po dalsze wskazówki. Żywię wszakże nadzieję, że obawy Pani są przesadne i odzyska Pani zdrowie.”

List był miły i, jako że Leonie nic lepszego nie przyszło do głowy, zasiadła natychmiast do pisania odpowiedzi.

Poinformowała księcia, że matka zmarła. Zapewniła, że nie chce być dla niego ciężarem, pragnie tylko przyjechać do

Szkocji, by wspólnie z nim zastanowić się, jak ma pokierować swoim życiem.

Nie wątpiąc w przychylność księcia pomyślała o sprzedaży domu wraz z inwentarzem oraz swymi ulubionymi końmi. Z największą starannością znalazła im gospodarzy, co do których miała pewność, że odpowiednio się nimi zaopiekują. Na szczęście, właściciel sąsiedniego gospodarstwa był dobrym człowiekiem. Zapłacił za konie więcej, niż dano by jej na targu. Obiecał także znaleźć kupca na dom i ziemię. Leona zdawała sobie sprawę, że nie będzie to łatwe, ale nawet niewielka suma urządziłaby ją w tej sytuacji.

Po uregulowaniu rachunków oraz opłaceniu człowieka, który miał się opiekować zwierzętami, z pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży koni zostało niewiele. Kiedy wszelkie przygotowania zostały zakończone, Leona zaczęła myśleć z niepokojem, co się stanie, jeśli książę, odmówi jej pomocy: Obawy okazały się płonne. Otrzymała list, w którym książę wznowił zaproszenie do zamku Ardness i zachęcał ją do natychmiastowego przyjazdu.

Zabierz swoją ulubioną pokojówkę, by Ci usługiwała - pisał. - Załączam czek na zakup dwóch biletów pierwszej klasy.

Te zalecenia wzbudziły w Leonie lekki niepokój. Od śmierci ojca nie zatrudniali służących. Od czasu do czasu przychodziła ze wsi kobieta, aby za niewielką opłatą zrobić w domu porządki. Leona nie wątpiła, że propozycja towarzyszenia jej w podróży do Szkocji przeraziłaby każdą z miejscowych wieśniaczek. Zwłaszcza, że miałyby jechać hałaśliwym, wypuszczającym kłęby dymu pociągiem, którego mieszkańcy Essex bali się, niczym prehistorycznego strasydła!

„Pojadę sama - postanowiła Leona - i wyjaśnię księciu na miejscu, że nie miałam służby i znalezienie towarzyszkę podróży okazało się nie lada problemem.”

Nie sadziła, aby był w stanie zrozumieć ich biedę i pojąć, w jakich warunkach mieszkały. Przyszło jej też do głowy, że księżę uzna ją za biedaczkę, gdy ujrzy proste suknie, które uszyła sobie sama z pomocą matki.

Nie miała pojęcia, jak żyli książęta, ale pamiętała opowiadania matki o wielkich zamkach należących do przywódców klanów i świetnych dworach W Edynburgu, W których matka za młodu bywała na balach. Rozejrzała się po swoim ubożuchnym, chylącym się ku ruinie domu. Nigdy nie było pieniędzy na naprawy czy przeróbki i dopiero teraz, gdy ten dom opuszczała, zdała sobie sprawę, że to, co było w nim uroczone, to ich rodzinne życie, jakie toczyło się w jego wnętrzu, a nie samo wnętrze.

„Księżę musi mnie przyjąć taką, jaka jestem”, pomyślała rozsądnie.

Przed wejściem do pociągu porównała ze smutkiem swoją skromną sukienkę ze wspaniałymi, szeleszczącymi krynolinami innych podróżujących dam, a swój czepek obrębiony tanimi wstążeczkami - z ich imponującymi nakryciami głowy. Tacy jak ona podróżowali w trzeciej, a nie w pierwszej klasie.

Ale nie zauważyła, że niejednen dżentelmen na peronie rzucał jej raz po raz ukradkowe spojrzenia. Uwagę przyciągały nie jej suknie podróżne, ale owalna twarzyczka o wielkich, zadumanych oczach, miękkie, jasne, jakby dziecięce włosy harmonizujące z delikatną, bladą cerą. Leona miała mały, prosty nosek i słodko zarysowane usta, które uśmiechały się z ufnością, nie doznała bowiem w życiu żadnego nieszczęścia z wyjątkiem straty rodziców.

Bagażowy znalazł jej miejsce w przedziale tylko dla dam. Podróżowała w stronę Edynburga w warunkach, które uznała za niebywale komfortowe. Jako że podróż trwała długo, zabrakło jej pożywienia. Na szczęście, zapasy trzymane w małym wiklinowym koszyczku mogła uzupełniać, gdy pociąg zatrzymywał się na większych stacjach.

Kiedy wreszcie dotarli do Edynburga, nie czuła się zmęczona ani wyczerpana. Podniecała ją perspektywa dalszej podróży. Książęca kareta wyglądała wspanialej niż jakikolwiek pojazd, jaki do tej pory widziała. Wewnątrz wysłana była miękkimi poduszkami. Były tam i futrzane okrycia, które wydały się Leonie niepotrzebne przy ciepłej sierpniowej pogodzie. Srebrne ozdoby zapierały po prostu dech w piersiach! Tak samo cztery konie w zaprzęgu oraz ludzie księcia w ciemnozielonych liberiach z błyszczącymi herbowymi guzikami ze srebra.

Leona odniosła wrażenie, że służący byli zaskoczeni, iż podróżuje bez pokojówki lub damy do towarzystwa, ale zajęli się nią z najwyższą troską i szacunkiem. Podczas noclegu w gospodzie pocztowej zadbano, aby miała wszystko co trzeba.

Małe hrabstwo Ardness leżało na wschodnim wybrzeżu Szkocji między Inverness a Ross. Leona sprawdziła to na mapie i stwierdziła, że podróżując z Edynburga będą musieli przez jakiś czas posuwać się na północ, zanim znajdą się na miejscu. Następnego dnia wyruszyli wczesnym rankiem. Drogi wydawały się bardziej wyboiste niż poprzednio, a kraina bardziej dzika. Wioski trafiały się rzadko i zdarzało im się jechać godzinę i dłużej nie napotykając żywej duszy na fioletowych wrzosowiskach, czy gościńcu.

Piękno otaczającego Leonę świata sprawiało, że czuła się tak, jakby śniła na jawie.

„Nic dziwnego, że mama tęskniła za Szkocją!”, myślała; uroda krajobrazu przewyższała jej wyobrażenia o tym kraju.

Zatrzymali się, aby spożyć pyszny i - zdaniem Leony - nazbyt obfity obiad.

Rankiem czuło się lekką bryzę. Teraz wiał silny i przenikliwy wiatr od morza. Leonie żal było koni biegnących w strugach ulewnego deszczu. Od prawie godziny kareta posuwała się pod górę; wąska droga wiodła ich ponad pozbawionym osłony drzew wrzosowiskiem. Wiatr był tak chłodny, że Leona była wdzięczna za futrzane okrycie i żałowała, że nie wyjęła z kufra ciepłego szala, aby okryć ramiona. Opatuliła się szczelniej futrem. Miała nadzieję, że wiatr i deszcz nie opóźnią ich podróży i nie będą musieli jechać dalej po zapadnięciu zmroku. Bata się, że noc zastanie ich na wrzosowiskach. Światła latarni z pewnością nie starczyłyby, aby oświetlić drogę.

Wiatr zdawał się wzmaczać. Pomyślała, że woźnice na koźle przemokli pewnie do suchej nitki i pogubili kapelusze w gwałtownych podmuchach. Kareta trzęsła się niczym szczur w pysku teriera. Po ciepłym słonecznym dniu wydawało się Leonie niezwykle, że pogoda zmieniła się tak raptownie. Gdy już dotarli na sam szczyt stromego wzniesienia, kareta zgrzytnęła, szarpnęła i stanęła raptownie. Leona krzyknęła ze strachu.

Powoli wracała do świadomości. Słyszała, jak ktoś wydaje rozkazy, podczas gdy konie szarpały się trwożnie, a woźnice usiłowali je uspokoić. Zdała sobie sprawę, że nie znajduje się w karecie, ale leży na ziemi. Otworzyła oczy i ujrzała pochyloną twarz mężczyzny. Choć widziała go niezbyt wyraźnie, jak przez mgłę, przemknęło jej przez myśl, że ma przed sobą bardzo przystojnego mężczyznę.

- Nic się pani nie stało. Proszę się nie obawiać - uspokajał ją.

- Nie... nie boję... się. - Z trudem poruszała wargami, a w głowie czuła zamęt.

- Sadzę, że lepiej będzie zabrać damę do zamku - rzekł mężczyzna, który jak zauważyła teraz, klęczał obok niej. - Przyślę ludzi, żeby pomogli ustawić karetkę i zaprowadzili konie do stajni.

- Ta... jest, jaśnie panie!

Klęczący mężczyzna odpinał broszę spinającą na lewym ramieniu przerzucony przez plecy pled.

- Czy jest pani w stanie usiąść? - zapytał. - Jeśli tak, okryję panią i pojedziemy konno, żeby jak najszybciej uciec przed wiatrem i deszczem.

Objąwszy Leonę ramieniem pomógł jej wstać, Następnie narzucił na jej głowę i ramiona pled, podniósł ostrożnie i ruszył w stronę konia, którego przytrzymał stajenny.

Nieznajomy usadowił Leonę w siodle, a potem sam wskoczył zwinnie na swego wierzchowca. Wolną ręką podtrzymał na wpół zemdloną, aby nie spadła. Oszołomiona wskutek uderzenia w głowę, nie bardzo wiedziała, co się z nią dzieje. Dopiero kiedy ruszyli, zerknęła za siebie. Księżęca kareta, przewrócona na bok, leżała smętnie na skraju drogi. Konie, uwolnione z uprzęży, biegały nie opodal. Porywisty wiatr sprawił, że wtuliła twarz w ramiona przytrzymującego ją mężczyzny. Objął ją mocniej

- Do zamku już niedaleko. Za długo by to trwało, gdybym przysłał po panią karetkę.

- Jestem... bardzo... panu wdzięczna - powiedziała z wysiłkiem Leona.

- To doprawdy szczęście, że znalazłem się w pobliżu. Jechali wciąż naprzód w zimnych podmuchach wiatru.

Leona drżała mimo grubego pledu, wdzięczna, że może choć trochę ogrzać się tuląc się do ciała swego wybawcy. Przywarła doń instynktownie. Spojrzawszy w górę dostrzegła uśmiech ponad ostro zarysowanym podbródkiem.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał.

- Chyba zraniłam się w głowę uderzając o ramę okna - odparła. - Ale poza tym nic mi się nie stało.

- Przekonamy się wkrótce, jak tylko znajdziemy się w zamku.

Wiatr tłumiał słowa i Leona pomyślała, że lepiej teraz nie rozmawiać.

Zstępowali po zboczu wzgórza i mężczyzna trzymał Leonę mocno, aby się nie ześlizgnęła. Czuła się pokrzepiona na duchu i bezpieczna - tak jak wtedy, gdy żył jeszcze jej ojciec.

„Co za przygoda!”, pomyślała żałując, że nie będzie mogła opowiedzieć matce o tym, co się jej przydarzyło. Ciekawa była, kto ją wybawił z opresji. Do nieznanego zwracano się "jaśnie panie", musiał więc być kimś znacznym. Zresztą czuła to instynktownie. Po sposobie w jaki się wyrażał i w jaki przejął panowanie nad sytuacją, można było poznać że jest to człowiek nawykły do wydawania rozkazów.

„Jakie szczęście, że się zjawił”, pomyślała. Przymusowy nocleg na wrzosowiskach, w lodowatej wichurze nie należałby do przyjemności.

Dotarli widocznie do stóp wzniesienia, bo koń biegł teraz szybciej i wydawało się, że znaleźli się poza zasięgiem wiatru. Leona uniosła głowę, żeby się rozejrzeć. Minęli bramę z kutego żelaza. Po obu jej stronach znajdowały się pomieszczenia dla straży.

- Jesteśmy w domu - powiedział mężczyzna. - Będzie pani mogła odpocząć, a poza tym sprawdzimy, czy wszystkie kości są całe.

- Proszę pana... nie jest aż tak źle! - odrzekła Leona.

- Mam nadzieję - przytaknął.

Koń zatrzymał się. Leona, uniosłszy głowę znad ramienia mężczyzny, zobaczyła ciężkie dębowe drzwi. Spojrzała w górę, na wznoszące się ku niebu ściany zamku. Trwało to

chwile, bo nagle otworzyły się drzwi, przez które wypadła chmara służby. Jeden z lokajów uniósł ją ostrożnie z siodła. Doznała absurdalnego poczucia przykrości, że oto wyrwano ją z bezpiecznego i wygodnego uścisku ramion jej rycerza. Zanim jednak zdążyła zastanowić się nad tym, ów rycerz odebrał ją służącemu i sam wniósł do zamku.

- Jestem pewna, że dam sobie radę sama - zaprotestowała Leona.

- Nie ma potrzeby - odparł. - Nie sędzę, abyśmy mieli się posprzeczać z tak błałego powodu. Zaczaj wchodzić na górę, Leona zauważyła, że ściany obwieszane były obrazami tarczami, włóczniami, mieczami i proporcami.

Jest dokładnie tak - pomyślała z zachwytem - jak mama mówiła. Jej wybawca wniósł ją bez wysiłku na szczyt schodów, a gdy nadbiegł służący oznajmił:

- Zabiorę panią do „komnaty ostów”.

- Tak, jaśnie panie.

Służący ruszył przodem. Leona ledwie zdążyła rzucić okiem na salon i ściany korytarza, także przyozdobione tarczami i włóczniami. Potem wniesiono ją do obszernej sypialni i złożono na łóżku.

- Sprowadź panią McCray!

- Tak, jaśnie panie.

Służący zniknął. Leona zsunęła pled z ramion.

- Bardzo dziękuję - powiedziała odruchowo.

Teraz wreszcie mogła się przyjrzeć swojemu wybawcy. Uznała, że jest niebywale przystojny. Miał na sobie spódniczkę, zwaną po szkocku kiltem, jej kraciasty wzór, tartan, utworzony z niebieskich i czerwonych linii, nie był jej znany. Służący jej za okrycie pled, był również w taką samą kratę. U pasa wisiała zdobiona srebrem skórzana torba, którą w Szkocji nazywają sporranem.

Zsunął czapkę z głowy i przyglądał się Leonie z uśmiechem.

- Nie wygląda pani na ofiarę wypadku, ale nie możemy ryzykować.

- Zapewniam pana, że nic mi nie jest - odparła Leona. - Jestem ogromnie wdzięczna, że był pan tak łaskaw i zechciał przewieźć mnie tutaj.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Czy mogę się przedstawić? Jestem Strathcairn.

Leona cicho krzyknęła.

- Słyszałam o panu - powiedziała - a przynajmniej o pańskim klanie, McCairnach.

- Bardzo mi miło. Czy zechce pani zdradzić swoje imię?

- Leona Grenville.

- Witam zatem w zamku Cairn, panno Grenville. O ile wiem, jest pani gościem księcia Ardness.

- Tak jest - powiedziała Leona - mam nadzieję, że jego wysokość nie weźmie mi za złe spóźnienia.

- Nie zdołałaby pani dotrzeć do zamku dziś wieczorem - stwierdził lord Strathcairn - nawet gdybym dał jej do dyspozycji jedną z moich własnych karet.

Leona wydawała się zaniepokojona. Strathcairn ciągnął dalej.

- Wyślę jednak służącego, aby powiadomił jego wysokość o wypadku. Na pewno bez względu na to, jakich uszkodzeń doznał pani pojazd, do rana go naprawią i będzie gotów do drogi.

- Dziękuję - powiedziała. - To bardzo miło, z pana strony. Mam nadzieję, że nie sprawiłam panu zbyt wiele kłopotu.

- Sądzę, że zna pani odpowiedź - uśmiechnął się Strathcairn. Proszę teraz odpocząć. Później zechce pani, być może, zaszczyścić mnie swym towarzystwem podczas kolacji.

Rozległo się pukanie do drzwi. Ukazała się w nich starsza kobieta. Ubrana była na czarno, a u jej pasa wisiał pęk kluczy. Dygnęła w ukłonie.

- Jaśnie pan mnie wzywał?

- Tak, pani McCray. Nasz gość doznał nieszczęśliwego wypadku. Powierzam pannę Grenville pani sprawnym ręką.

- Wasza lordowska mość może być spokojny. Lord Strathcairn poszedł w stronę drzwi

- Byłbym srodze rozczarowany, panno Grenville - powiedział z ręką na kłamce - gdyby nie czuła się pani na siłach, aby zjeść ze mną dziś wieczór kolację.

Pani McCray pośpieszyła ku łóżku.

- Co też się panience przydarzyło? Czy panienka jest ranna?

- Ależ nie. Kareta przewróciła się - odparła Leona - i chyba uderzyłam głową w okno. Straciłam na parę minut przytomność i to wszystko,

- To w zupełności wystarczy! - zawołała pani McCray. - Ta droga jest okropna, zdradliwa o każdej porze roku, a zimą - zawsze to powtarzam - to śmiertelna pułapka.

Rozwodząc się nad niebezpieczeństwami czyhającymi na drodze i trudami podróży, pani McCray zaaplikowała na obolałe czoło Leony środki z domowej apteczki. Podała jej także ciepły napój z miodem i - jak podejrzewała Leona - sporą miarką whisky. Dziewczyna rozebrała się i ułożyła wygodnie na łóżku. To napój z pewnością sprawił, że zasnęła natychmiast. Kiedy się ocknęła, służące krzątały się przygotowując kąpiel i rozładowując kufer Leony przeniesiony do zamku z rozbitej karety.

Wiatr wciąż gwizdał za oknami, a w komnacie ogień trzaskał na kominku. Kąpiel w takich warunkach była niezwykle przyjemna. Matka nieraz mówiła jej, że miękka, zabarwiona torfem na brunatny kolor woda wspaniale działa

na skórę. Obmywając się w kąpielni Leonie przypomniały się jej słowa.

Niewiele miała sukien do wyboru, by wystroić się na kolację z lordem Strathcairem. Zdecydowała się na jedną, własnej roboty. Bładoróżowej sukni uroku dodawały stare koronki, które przedtem zdobiły stroje jej matki. Suknia nie była tak szeroka dołem, jakby Leona sobie życzyła, ale obcisły stanik podkreślał jej kobiece kształty i szczupłość talii. Starając się uporać z włosami myślała z niepokojem, czy okaże się gościem godnym zasiadać w towarzystwie jego lordowskiej mości.

- Ładnie panienka wygląda - powiedziała pani McCray z uznaniem, prowadząc Leonę szerokim korytarzem.

Dziewczyna oglądała z zachwytem tarcze i broń na ścianach. Komnata - salon, do której wreszcie dotarły, spodobała jej się bardzo.

Na pierwszym piętrze, jak w każdym szkockim zamku, mieściły się najważniejsze komnaty. Salon, mimo okazałych rozmiarów, sprawiał wrażenie przytulnego i gościnnego. Jedną ścianę przykrywały półki z książkami, było tam też trochę obrazów i kamienny kominek. Przy wysokich prawie aż do sufitu oknach znajdowały się wygodne siedziska z aksamitnymi poduszkami.

Lord Strathcairn czekał przy kominku. Kiedy ruszył, aby ją powitać, Leona pomyślała, że jak dotąd żaden mężczyzna nie wywarł na niej podobnego wrażenia. Świetnie się prezentował w kraciastej spódniczce, a sporran u jego pasa stanowił istny cud rękodzieła. Kaftan zdobiły srebrne guziki, a pod szyją pieniły się białe koronki. Nosił getry po kolana o tym samym wzorze co spódniczka, a kiedy chodził, Leona dostrzegła skean - dhu, obszytą topazami ozdobę na jego lewej nodze.

- Czuje się pani lepiej, panno Grenville? - zapytał lord Strathcairn.

- Czuję się zupełnie dobrze, dzięki uprzejmości waszej lordowskiej mości - odparła Leona.

- Bardzo się z tego cieszę.

- Pański zamek jest tak cudowny! Czy mogę wyjrzeć przez okno?

Nie czekając na pozwolenie Leona podbiegła do okna i krzyknęła z zachwytu. Sypialnia wychodziła na ogród, natomiast z okien salonu rozpościerał się widok na wielkie jezioro. Otaczały je wzgórza z wyjątkiem jednego miejsca w oddali, skąd, jak się domyśliła, zanim jeszcze usłyszała to od forda, wypływała rzeka kierując się ku morzu.

Słońce zanurzyło się już w wodach jeziora barwiąc je złotem. Niebo jaśniało bladą poświatą. Wzgórza, na których igrały ostatnie promienie światła, błękitniały w mroku. Widok był urzekający.

- Jakie to wspaniałe! To najpiękniejsze miejsce na świecie! - zawołała Leona z głębokim podziwem.

- Jestem szczęśliwy, że podoba się tu pani - odparł lord Strathcairn.

- Zamek jest zapewne bardzo stary?

- Niektóre fragmenty pochodzą sprzed siedmiuset lat.

- Kryje zatem kawał historii w swych murach.

- Z największą przyjemnością opowiem pani coś niecoś o dawnych czasach - rzekł lord Strathcairn, - Nie chciałbym jednak pani zanudzić, a poza tym, ciekaw jestem, co panią sprowadza do Szkocji.

Wręczył jej szklaneczkę sherry.

- Moi rodzice nie żyją - odparła Leona - ale matka tuż przed śmiercią napisała do księżnej Ardness z prośbą, aby zechciała się mną zaopiekować.

- Księżna? - zapytał lord Strathcairn. - Ależ ona także nie żyje.

- Tak, wiem o tym - powiedziała Leona. - Książę powiadomił o tym w liście, ale zaprosił mnie mimo wszystko. Mam mieszkać w jego zamku. Zauważyła, że lord Strathcairn znieruchomiał.

- Mieszkać z nim w zamku? - powiedział dziwnym tonem, jakiego dotąd nie słyszała w jego głosie. - Sądziłem, że udaje się pani na północ z krótką wizytą,

- Ależ nie - stwierdziła Leona. - Nie mam dokąd pójść, nie chciałabym jednak być ciężarem dla jego wysokości i jeśli znuży go mój pobyt w zamku, znajdę może jakieś zajęcie w Edynburgu.

- Nie wydaje mi się to prawdopodobne - powiedział lord Strathcairn zdecydowanie. - Jednakże nie podoba mi się...

Przerwał z pewnym wysiłkiem, jak wydało się Leonie. Spojrzała na niego pytająco, lecz w tym momencie lokaj oznajmił:

- Kolację podano, jaśnie panie!

Jadalnia, znajdująca się na tym samym piętrze, była równie wspaniała jak salon. Stół ugiął się pod srebrną zastawą. Wielkie kielichy musiały pochodzić z bardzo odległych czasów. Wystrój komnaty, z topornie rzeźbionym kominkiem i wąskimi oknami sięgającymi aż do belkowanego sufitu, wskazywał na wieki średnie. W oknach wisiały kotary z czerwonego aksamitu. Na stole płonęły dwa świeczniki. Ich światło sprawiało, że pokój, mimo swych rozmiarów, wydawał się ciepły i przytulny. Leona popatrzyła na świece z lekkim uśmiechem.

- Cóż tak panią rozbawiło, panno Grenville? - zapytał lord Strathcairn.

- Kiedy zobaczyłam świeczniki - odparła Leona nieco zaskoczona, że tak uważnie ją obserwował - przypomniałam

sobie anegdotę, jaką matka opowiadała mi o jednym ze swoich przodków.

- Wydaje mi się, że ją znam - powiedział lord Strathcairn - ale chętnie usłyszę ją z pani ust.

- To był Macdonald z Keppoch. Jeden z gości usiłował zrobić na nim wrażenie opowiadając o ogromnych świecznikach, jakie spotyka się w angielskich domach.

Lord Strathcairn uśmiechnął się.

- Pamiętam oczywiście tę historię! Ustawił wokół stołu najwyższych członków klanu i każdemu dał płonąca sosnową pochodnię!

- Tak jest! - wykrzyknęła Leona. - Potem śmiejąc się zapytał gościa, gdzie w Anglii, Francji czy we Włoszech widział dom z takimi świecznikami!

- Przykro mi, że nie mogę pani pokazać czegoś równie niezwykłego - powiedział lord Strathcairn.

- Zachwyca mnie wszystko dookoła - zapewniła go Leona. - Nie wie pan, co to dla mnie znaczy, że jestem w Szkocji!

- Pani matka pochodziła z Macdonaldów? A więc możemy być spowinowaceni. W moim drzewie genealogicznym figuruje sporo Macdonaldów.

- Tatuś mawiał, że Szkoci są wszędzie! Nie da się ich powstrzymać! - powiedziała Leona figlarnie.

- Niezmiernie mi miło powitać w pani rodaczkę.

Kolacja ogromnie Leonie smakowała. Podano łososa, którego, jak zapewniał gospodarz, osobiście wyłowił z jeziora tego ranka, oraz pardwę, którą ustrzelił na wrzosowiskach dnia poprzedniego. Po raz pierwszy spożywała kolację sam na sam z mężczyzną. Lord Strathcairn wyjaśnił, że mieszka samotnie. Czasem tylko odwiedzał go jakiś krewniak.

- Ostatnio gościłem jedną z ciotek - powiedział, - Dopiero w zeszłym tygodniu wróciła do Edynburga. - Popatrzył na

służbę i dodał: - Mam nadzieję, że zapewniłem pani dostateczną opiekę. Pani McCray poleciła jednej z pokojówek, aby spała w garderobie pani sypialni.

- Czuję się dostatecznie bezpieczna z panem - odpowiedziała Leona.

Tak było rzeczywiście. Od czasu pamiętnej wspólnej jazdy, kiedy lord przytrzymał ją w siodle silnym ramieniem, sama jego obecność napawała ją spokojem i poczuciem bezpieczeństwa. Spostrzegła, że Strathcairn był zadowolony z jej odpowiedzi.

- Czy to prawda - zapytał - czy też zwykła uprzejmość?

- Mówię... prawdę - powiedziała cicho Leona.

Ich oczy spotkały się i Leona doznała wrażenia, że między nimi zaszło coś niezwykłego, coś, czego nie potrafiła wyjaśnić.

- Chcę mieć pewność - odezwał się po chwili lord - że będzie pani pamiętać, iż gdziekolwiek znajdzie się pani w Szkocji, oczekuję pani tu, w zamku, zawsze gotów na pani usługi.

- Dziękuję panu.

Nie miała pojęcia, dlaczego tak ciężko było jej mówić.

I znowu patrzył prosto w jej oczy. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale wtedy rozległa się głośnie muzyka. Do jadalni wkroczył kobziarz. Nosił klanowy strój McCairnów. Okrążył stół parę razy. Spódniczka kołysała się w takt melodii przywołującej wspomnienie wojen toczonych przez mieszkańców wysoczyzn, ich marzeń i pragnień.

Leona przypomniała sobie, jak matka opowiadała o MacCrimmonach, najstynniejszych kobziarzach w Szkocji. Mogli oni wzruszyć ludzi do łez albo podniecić do walki swoją muzyką. Każdy szef klanu, jak wiedziała, miał swego kobziarza, który budził go rano i przygrywał podczas wieczornego posiłku. Kiedy wódz wyruszał na wojnę,

kobziarz maszerował za nim. Dzika muzyka, przywołująca pamięć dawnych bohaterskich czynów, zagrzewała ludzi do walki.

Kobziarz odegrał trzy melodie, po czym zatrzymał się przy lordzie kłaniając się z szacunkiem. Lord wręczył mu srebrny kubek whisky. Grajek uniósł naczynie w toaście i wychylił do dna. Ukłoniwszy się ponownie, opuścił jadalnię.

- Oto coś, co pragnęłam usłyszeć - powiedziała Leona.

- Kobzę? - zapytał Strathcairn.

- Dzięki tej muzyce wiem, że na pewno jestem Szkotką!

- Muzyka wzrusza panią?

- Budzi we mnie gwałtowne uczucia. Podnieca mnie, wznieca dumę i trochę zasmuca. Kiedy słucham tych melodii, wierzę, że duch Szkocji jest niezłomny.

Mówiła szczerze, z głębi serca. Lord ujął jej dłoń.

- Dziękuję - powiedział spokojnie.

Uczucie, jakiego doznała, kiedy całował jej palce było całkiem nowe i na swój sposób bardziej jeszcze cudowne niż wszystko, co zdarzyło się do tej pory!

Rozdział 2

Lord Strathcairn podniósł się ze swego fotela z wysokim oparciem i zapytał:

- Czy miałyby pani ochotę popatrzeć na szkockie tańce?

- Marzę o tym! - wykrzyknęła Leona w odpowiedzi. - Ale nie dopił pan porto?

- Myślę, że dziś wieczór doskonale się bez niego obejść - odparł. Wyszli z jadalni i kamiennymi schodami udali się na wyższe piętro.

Matka opowiadała Leonie, że w każdym szkockim zamku znajdowała się tak zwana komnata wodza, gdzie przywódca klanu podejmował swoich pobratymców, gdzie układano plany bitew i gdzie się bawiono. Leona wyobrażała sobie, że komnata będzie ogromna i wspaniała, niczym na królewskim dworze. Pomieszczenie, do którego weszli, zaskoczyło ją. Miało szerokość zamku. W jednym końcu sali ujrzała galerię dla muzyków. Głowy jeleni, rogi, tarcze i miecze ozdabiały ściany. Najbardziej niezwykły wydawał się jednak wyłożony drewnem sufit z herbem Strathcairnow.

W sali nie brakło - jak można się było tego spodziewać - wielkiego, otwartego kominka, na którym paliły się pokaźne polana. Członkowie klanu, w tartanie o barwach Strathcairnow, zasiadali pod ścianami. Malowniczy był to widok, ale Leona wiedziała, że tartany pochodzą ze stosunkowo niedawnych czasów. Niegdyś nie góralska spódniczka - skromny kawałek materiału - stanowiła znak rozpoznawczy klanu, ale hasło i okrzyk oraz specjalny znak. Każdy ród miał własne zawołanie - dziki okrzyk wojenny nawiązujący do bohaterskiej przeszłości. Przynależność do klanu zdradzał też znak noszony na czapce: wizerunek kwiatu wrzosu, dębowego liścia albo gałązki mirtu. Każdej roślinie przypisywano magiczne znaczenie, traktowano ją jako amulet przeciwko urokom i wszelkim nieszczęściom. Czasami taka

roślina odgrywała istotną rolę w życiu klanu. Na przykład znakiem MacNeilów były wodorosty.

- Wodorostami - wyjaśniała kiedyś pani Grenville córce - MacNeilowie nawozili jałowe pola na zachodnich wybrzeżach swoich wysp.

Świetnie skrojone plisowane spódniczki McCairnów nie przypominały w niczym pstrokatej, wypłowiałej tkaniny zwanej na wysoczyznach „braecan”.

Lord Strathcairn poprowadził Leonę do małego podwyższenia obok galerii. Stały tam dwa fotele o wysokich oparciach rzeźbionych w znaki heraldyczne. Gdy zasiedli, rozpoczął się góralski taniec.

Leona słyszała nie raz o tym, jak lekko i zwinnie potrafili tańczyć szkoccy górale swój taniec - słynnego reela. Teraz musiała przyznać, że w opowieściach tych nie było przesady. Mężczyźni płąsali na palcach przeskakując przez skrzyżowane miecze. Tańczyli do wtóru zawodzących i jęczących kobz. Leona nie mogła oderwać od nich oczu. Zerknęła na siedzącego obok niej lorda. Pomyślała, że wyglądał dokładnie tak, jak szef klanu wyglądać powinien. Wiedziała, że w dawnych czasach głowa klanu cieszyła się w Szkocji autorytetem równym królewskiemu. Matka mówiła jej, że przywódca zapewniał klanowi opiekę, a jego ludzie spełniali bez szemrania wszelkie jego rozkazy. Dodawała jednak ze smutkiem: „Niestety, wodzowie zapomnieli teraz o swoich góralach, a oni bez przywódcy są zupełnie bezradni!” Nie potrafili żyć poza klanem.

Leona pamiętała, że nawet w XVI i XVII wieku szef szkockiego klanu przewyższał często Anglików wiedzą i doświadczeniem.

- Szefowie klanów znali angielski i gaelicki - powiedziała kiedyś pani Grenville - a często także grekę, francuski i łacinę. Wysyłali synów po naukę na uniwersytety w Glasgow,

Edynburgu, Paryżu i Rzymie. Pili francuskie wina, nosili koronkowe żaboty, ale znali i za własny przyjmowali obyczaj, kulturę swego ludu. Teraz szefów klanów nie zadowala już polowanie na jelenie, wilki, żbiki i pardwy. Przenieśli się na południe porzucając swój lud, który jest teraz niczym statek bez steru.

Widząc, z jakim zainteresowaniem lord śledził taniec, Leona pomyślała, że temu wodzowi jego lud na pewno nie jest obojętny. Żałowała, że nie ma tu matki. Wiedziała, że taniec i widok „komnaty wodza” zachwyciłyby ją.

Tańce ustały i Strathcairn przedstawił Leonie swoich ludzi. Oznajmił, że w jej żyłach płynie krew Macdonaldów i że to jej pierwsza wizyta w Szkocji, ale - co zauważyła - ani słowem nie wspomniał o zamku Ardness; celu jej podróży. Uznała, że widać stosunki między starym księciem a jej gospodarzem - lordem nie układają się najlepiej i usiłowała sobie przypomnieć o jakiejś waśni rodowej między McCairnami a McArdnami. Żałowała, że niewiele udało się jej zapamiętać z matczynej opowieści o Szkocji, tak bogatej w bohaterskie legendy i tak bliskiej jej skołatanemu sercu. Daleko stąd, na południu Anglii, to wszystko wydawało się nierzeczywiste. Teraz jednak, Leona naprawdę była w Szkocji i to, co szkockie, poruszało ją do głębi, tak jak dźwięk kobzy budził w niej dziwne podniecenie i wzruszenie, jakiego dotąd nie doznała.

Podziękowawszy tancerzom, lord Strathcairn powiódł Leonę z powrotem do salonu na pierwszym piętrze.

- Dziękuję - powiedziała. - Jestem panu ogromnie wdzięczna, nawet nie potrafię tego wyrazić.

- Podobało się pani?

- To było zachwycające - odparła - Mama miała rację, że nikt nie dorówna Szkotom w tańcu, kiedy ruszą do reela.

Lord Strathcairn podszedł do stolika w kacie pokoju i nalał Leonie orzeźwiającego napoju. Ze szklankami w ręku stanęli przy ogniu. Blask płomieni pokrył włosy Leony złotawą poświatą. Zdawało się niemal, że jej głowę spowija świetlista aureola. Słyszeli wycie wichru za murami zamku i stukanie deszczu o szyby.

- Błogosławię ten wiatr za to, że mi tu panią przywiął - powiedział Strathcairn niskim głosem. - Nie spodziewałbym się czegoś podobnego nigdy w życiu.

- Dla mnie to jakieś czary - odrzekła Leona. Podniosła ku niemu twarz. Urzekł ją wyraz jego oczu.

- Jest pani bardzo piękna! - powiedział.

Nutka w jego głosie przywołała rumieniec na jej policzki. Nieśmiałość kazała jej odwrócić wzrok i spojrzeć w ogień. Milczeli. Pomyślała znowu, jak bardzo było mu do twarzy w stroju szefa klanu.

- Czy spędza pan tu cały rok? - zapytała.

- To mój dom, moje życie, - Ku jej zaskoczeniu mówił teraz zupełnie innym tonem niż przed chwilą. - Tutaj jest moje miejsce!

Jego głos brzmiał ostro, prawie nieprzyjemnie. Spojrzała zdziwiona.

- Jest pani zapewne zmęczona, panno Grenville. Miała pani ciężki dzień. Zapewne chciałaby pani udać się na spoczynek - powiedział.

Leonie wydawało się, że odsunął się od niej, że nie jest już taki bliski i opiekuńczy, jak przed chwilą. Pragnęła go zapewnić, że nie ma ochoty iść do łóżka, że chce zostać i rozmawiać z nim. Tak wielu rzeczy była ciekawa, tyle chciałaby usłyszeć. Uznała jednak, że nie powinna się z tym zdradzać. Miał już, być może, po prostu dosyć jej towarzystwa.

Poczuła się nagle młoda i niedoświadczona. Należało może, pomyślała z przekorą, pożegnać go, gdy wyszli z „komnaty wodza”. Nie zrobiła tego i dopuściła, żeby poniżył ją dając do zrozumienia, że jest nią znużony.

- Czy mogę podziękować za pańską uprzejmość? - zapytała.

Jej oczy patrzyły błagalnie, ale nie zauważył tego. Przemierzył komnatę i otworzył drzwi na korytarz.

- Pani McCray czeka na panią - powiedział. - Dobrej nocy, panno Grenville.

- Dobrej nocy, wasza lordowska mość

Leona ukłoniła się i powędrowała samotnie korytarzem. Słyszała, jak lord wraca do salonu.

„Cóż ja takiego powiedziałam? Dlaczego nagle tak się zmienił?”, zastanawiała się leżąc w łóżku. Na kominku płonął ogień i drżące cienie tańczyły na ścianach sypialni. Znowu zabrzmiały jej w uszach wypowiedziane łagodnie słowa: „Jest pani bardzo piękna!” A potem, nagle, ostry ton w odpowiedzi na proste pytanie. Miała wrażenie, że stała się nagle zawadą, którą trzeba usunąć.

- Nic nie rozumiem - Leona męczyła się próbując rozwiązać zagadkę, aż wreszcie zasnęła.

Piękny poranek, panienko. I wiatr ustał - oznajmiła pani McCray.

Odsunęła zasłony i w tejże chwili Leona usłyszała dźwięki kobzy w drugiej części domu. Słońce zajrzało przez okna rozsiewając złoty blask. Nocne strachy ulotniły się. Miała ochotę szybko się ubrać i - być może - zjeść śniadanie z lordem. Ale pani McCray miała wobec niej inne plany.

- Przyniosłam śniadanie tutaj, żeby się panienka nie fatygowała po wczorajszych przeżyciach.

- Czuję się znakomicie! - zaprotestowała Leona. Rzuciła okiem na pełną tacę, którą służąca właśnie niosła do łóżka, i powiedziała z wahaniem:

- Czy... jego lordowska mość... nie oczekuje mnie na śniadaniu?

- Jego lordowska mość śniadał godzinę temu - odparła pani McCray. - To ranny ptaszek. Mówił, że jak panienka się ubierze, to może, na odjeźdźnym, będzie miała ochotę obejrzeć ogrody.

- Tak, oczywiście, chciałabym bardzo! - przytaknęła Leona.

Przetykała pośpiesznie, a potem ubrała się z pomocą pani McCray. Tymczasem pokojówka pakowała kufer.

Leona miała niejasną nadzieję, że paskudna pogoda zatrzyma ją w zamku albo rozbita karetka uniemożliwi dalszą podróż. Żegnając się z panią McCray zauważyła, że dwaj lokaje czekają, aby przenieść jej bagaż do karety, która, jak można się było domyślić, stała już u bramy. Przepęłniało ją przykre poczucie, że ktoś usiłuje skłonić ją do czegoś, na co nie ma w gruncie rzeczy ochoty. Sama przed sobą przyznała, że wołałaby zostać w zaniku Cairn aniżeli jechać do Ardness.

- To niedorzeczne - myślała wchodząc do salonu - ale wydaje mi się, że tracę coś cennego.

Zapomniała o wszystkim na widok Strathcaina siedzącego przy biurku. Podniósł się na jej widok i Leona powstrzymała odruch, aby podbiec ku niemu i powiedzieć, jak bardzo się cieszy, że go widzi, ale zamiast tego, dygnęła tylko grzecznie.

- Dzień dobry, panno Grenville - powiedział poważnie jej gospodarz.

- Dzień dobry, wasza lordowska mość.

- Spała pani dobrze?

- Bardzo dobrze, dziękuję.

- Jak pani widzi - powiedział - wiatr ustał w nocy i mamy teraz ciepły słoneczny dzień.

- Pani McCray wspomniała, że pokaże mi pan ogrody.

- Jeśli sprawiłoby to pani przyjemność...

- Bardzo chciałabym je zobaczyć!

- Myślę, że spodobają się pani - powiedział - założyła je moja matka. Kazałem je pielęgnować zgodnie z jej wskazówkami.

Zeszli po schodach i bocznymi drzwiami dostali się do ogrodu. Leona przyznała, że lord Strathcairn miał się czym szczyścić. Ogrody leżały na łagodnym zboczu wzniesienia sięgając aż do brzegu jeziora. Dookoła ciągnęły się gęste zarośla. Rosło tam wiele kwiatów nie spotykanych zazwyczaj w tej części kraju. Słońce grzało w najlepsze. Wzgórza za jeziorem zamykały jakby przestrzeń, dając przez to poczucie bezpieczeństwa. Po przeciwnej stronie srebrzystej toni, w cieniu wzgórz, usadowiły się drobne gospodarstwa. Na zielonych łąkach pasło się kudłate szkockie bydło o długich rogach.

- Czy posiada pan dużo ziemi? - zapytała Leona.

- Nie tyle, ile bym chciał - odparł lord Strathcairn - ale moje włości rozciągają się na wschodzie aż do morza, a na południu aż do hrabstwa Inverness. - Zdało się jej, że spochmurniał mówiąc te słowa. - Granica przebiega na wrzosowiskach. Za nią jest już Ardness.

- Aż tak blisko?! - wykrzyknęła Leona. - Więc jak daleko stąd do zamku?

- Odległość drogą - odparł Strathcairn - wynosi jakieś dziesięć mil, ale w linii prostej nie więcej niż trzy.

- Jakie to niezwykle! - zawołała Leona.

- Trzeba pokonać wiele parowów, rozpadlin i strumieni - wyjaśnił - a kiedy te ostatnie wzbierają, zdarza się, że zalewają leżącą poniżej drogę.

- Teraz rozumiem - powiedziała Leona.

Zbliżali się powoli do jeziora. Leona odwróciła się w stronę zamku. Krzyknęła zachwycona.

- To zupełnie jak zamek z bajki - zawołała. - Nie sądziłam, że może mieć tyle uroku!

Widok był rzeczywiście romantyczny. Ponad murami z szarego kamienia strzelały w górę smukłe wieżyczki. Leona pomyślała, że potężna budowla ma w sobie tę samą lekkość i wdzięk, co góralski taniec.

- Rozumiem, ile ten zamek dla pana znaczy - zwróciła się do lorda.

- Mogę tylko powtórzyć to, co powiedziałem wczoraj wieczorem - odparł. - Tu jest mój dom, moje miejsce i na mnie spoczywa obowiązek opieki nad moim klanem i moim ludem.

Leona już miała powiedzieć, jak bardzo go podziwia, gdy nagle zmienił temat.

- Sądzę, panno Grenville, że jego wysokość księżę oczekuje pani, karetą stoi przy bramie. Powinna pani już ruszać.

- Ach... tak, oczywiście - zgodziła się Leona. Znowu poczuła się upokorzona. To jej obowiązkiem było pożegnać się w odpowiednim momencie. Nie powinna pozwolić, by ją przywoływano do porządku. Żal jej przy tym było opuszczać słoneczne ogrody. Odwróciła się znowu w stronę jeziora.

- Teraz kiedy jestem w Szkocji, chciałabym mieć okazję zobaczyć, jak się łowi łososia - powiedziała. - Mój ojciec uwielbiał łowić ryby i często mówił nam, że to pasjonujące zajęcie.

- Nie zawsze mamy to, czego chcemy - odparł Strathcairn. - Tyle rozczarowań spotyka nas w życiu!

Szedł powoli ku zamkowi. Nie widząc sposobu, aby opóźnić wyjazd, ruszyła za nim z ociąganiem. Spojrzała ku wrzosowiskom.

- A gdzie jest granica pańskiej posiadłości? - zapytała. - Czy jest tam jakiś znak?

- Moi łowczy znają każdą piędź ziemi jak własną kieszeń, tak że z pewnością potrafią wskazać, który krzaczek wrzosu należy do mnie, a który do księcia - stwierdził lord. - Ja sam rozpoznaję granicę moich włości po dużym kopcu, który usypano w tym miejscu przed wiekami.

Szli ścieżką w kierunku zamku. Leona widziała konie niecierpliwiące się przed główną bramą.

- To bardzo uprzejme z pana strony, że... zechciał mnie pan przenocować w swoim zamku - powiedziała. - Mam nadzieję, że spotkam pana znowu.

- Mało prawdopodobne.

Leona zatrzymała się patrząc na lorda Strathcairna rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- Ależ dlaczego?

- Jego książęca wysokość nie zgadza się ze mną w pewnych sprawach - odparł Strathcairn.

- Nie mogę odnaleźć w pamięci, co słyszałam o waśniach między waszymi klanami... - zawahała się Leona.

- Walczyliśmy niegdyś - odrzekł Strathcairn - ale mój ojciec i zmarły książę zawarli pokój...

- Który został złamany? - Który został złamany!

Lord Strathcairn zamilkł. Postąpił naprzód, jakby chciał możliwie szybko odprowadzić gościa do karety.

- A zatem... już pana nie zobaczę? - zapytała Leona przytłumionym głosem.

- Nie odwiedzam zamku Ardness - odparł. - proszę jednak, aby pamiętała pani o jednym: jest tu pani zawsze mile widziana. Jak już mówiłem, oddaję się na pani usługi.

Jego głos brzmiał ciepło i serdecznie. Poczwała się tak, jakby do jej serca przeniknął promień słońca.

- A więc mogę złożyć panu wizytę?

- Szczerze tego pragnę. - Lord Strathcairn popatrzył na wrzosowiska. - Do kopca droga niedaleka, a potem będzie pani już na mojej ziemi.

- Na pewno przyjadę - powiedziała Leona oddychając z trudem.

Ich oczy spotkały się, ale słowa nie padły. Nim zdążyli otworzyć usta, nadbiegł służący.

- Proszę o wybaczenie, wasza wielmożność, ale woźnice książe mówią, że konie się niecierpliwia.

- Dziękuję Duncan - powiedział lord. - Panna Grenville już jest gotowa do odjazdu.

Weszli do zamkowej sieni, gdzie podano Leonie jej płaszcz podróżny. Wszystkie inne rzeczy znajdowały się już w karecie. Wyciągnęła rękę.

- Zechce wasza lordowska mość przyjąć najszczerze podziękowania za swoją gościnność.

Ujął jej dłoń, ale nie złożył na niej pocałunku, którego na wpół świadomie pragnęła. Ukłonił się tylko dwornie. Leona dygnęła i wsiadła do karety.

Woźnica smagnął konie biczem, jakby zniecierpliwiony długim oczekiwaniem. Zaprzęg ruszył z kopyta, zanim Leona zdążyła się wygodnie usadowić. Wyjrzała przez okno. Przed oczami mignęła jej sylwetka Strathcairna stojącego na schodach zamku. Widziała go tam, dopóki ostrym galopem nie wyjechali z podwórza kierując się ku drodze na wrzosowiska. Poprzedniej nocy wichura właśnie w tym miejscu przewróciła powóz. Leona obejrzała się, żeby raz jeszcze spojrzeć na zamek nad jeziorem. Opuściła okno, żeby lepiej widzieć. W jasnych promieniach słońca starodawna siedziba rodu Cairnów wydała się jej jakby żywcem

przeniesiona z baśni. Piękno krajobrazu z fioletowymi wrzosowiskami, refleksami słońca na wodzie, chatkami przycupniętymi u podnóża wzgórz, wszystko wprawiało ją w nieopisany zachwyty

Zamek stanowił uosobienie tajemniczego i romantycznego ducha Szkocji,

- To cudowne! - Leona powiedziała do siebie wzdychając lekko.

Zamek pozostał daleko w tyle.

Po drodze zastanawiała się, co może być przyczyną waśni między lordem Strathcairem a księciem; nieporozumienie na tyle poważne, że nie chcieli się nawet widywać. Lorda wyraźnie poruszyła wiadomość o tym, że ma zamiar zamieszkać w zamku Ardness. Dlaczego wydawało mu się to takie niezwykle? Potem pomyślała, że Szkoci obdarzeni są bardzo wybuchowym temperamentem i nigdy nie wybaczą najmniejszej zniewagi. Przypomniała sobie, co jej matka mówiła o Campbellach. Wiedziała, jak łatwo ich urazić.

„Może uda mi się ich pogodzić?”, pomyślała. Pragnęła załagodzić rozdzwitek między nimi tak, aby jak najszybciej znów zobaczyć lorda Strathcairn.

Posuwali się wąską i kamienistą drogą. Konie biegły jednak w dobrym tempie i Leona oceniała, że przebyli już jakieś cztery do pięciu mil, gdy karetka nagle się zatrzymała. Wokół rozlegały się krzyki. Wyjrząwszy przez okno zobaczyła ze zdziwieniem gromadę ludzi stłoczoną wokół jakiejś chaty. Dwaj mężczyźni wywlekali z wnętrza domostwa pościel, stoły, kołowrotek i ubrania. Kobiety i dzieci złorzecząc i płacząc usiłowały temu przeszkodzić.

Drogą biegli chłopcy. Nie można było ruszyć z miejsca. Leona zobaczyła, że mężczyźni, którzy przedtem wyrzucali sprzęty teraz podpalają dach domu! Nic nie rozumiała.

Kobieta tuląca dziecko w ramionach krzyknęła po gaelicku głosem pełnym gniewu:

- Tka mo clann air a bhi air am murt! „Mordują moje dzieci”, przełożyła sobie Leona. Poza podpalaczami byli tam jeszcze trzech policjanci.

Wysiadła z karety. Harmider był nie do wytrzymania. Jakieś kobiety usiłowały wyciągnąć ptactwo z kurnika, by nie spaliło się żywcem. Do płonącej chaty wskoczył mężczyzna. Wybiegł po chwili z półnagim, krzyczącym wniebogłosy dzieckiem na rękę.

- Co tu się dzieje?! - zawołała Leona.

Jej głos utonął w hałasie, ale w tej właśnie chwili z tłumu wysunął się mężczyzna, który wyglądał na przedstawiciela władzy.

- Proszę jechać dalej - powiedział szorstko. - Zaraz droga będzie wolna.

- Ale o co tutaj chodzi? - powtórzyła pytanie Leona.

- Ci ludzie są eksmitowani.

- Eksmitowani?! - wykrzyknęła Leona. - Chce pan powiedzieć: wysiedlani? Rozumiem, że zostaną przesiedleni na inne miejsce.

- Jego wielmożność potrzebuje ziemi, łaskawa pani.

- Dla owiec? - zapytała dziewczyna.

- Otóż to. A teraz proszę jechać dalej.

Mężczyzna odwrócił się do niej plecami. Leona zauważyła, że lokaj trzyma drzwi karety otwarte, czekając, żeby wsiadła.

- Pomocy! Błagam, pomocy! - krzyknęła kobieta.

Leona zawahała się, nie wiedząc, co robić. Kobieta, uderzona pałką policjanta, osunęła się na ziemię. Leona już biegła w jej stronę, gdy wpadła na mężczyznę, z którym rozmawiała poprzednio.

- Ruszy pani wreszcie? - powiedział ostro. - Nie ma pani tu czego szukać. Jego wysokość na pewno nie życzyłby sobie, żeby pani przyglądała się temu.

Leonę oburzał sposób, w jaki potraktowano kobiety i dzieci, ale chcąc nie chcąc, wsiadła do karety. Pojazd szybko jechał opustoszałą drogą. Obejrzała się na płonąca chatę. Spostrzegła, że wieśniacy, uprzedzając swoich prześladowców, sami wynoszą z domów swój skromny dobytek. Opadła na siedzenie. Straszne sceny, których była świadkiem, przyprawiły ją o zawrót głowy.

Słyszała o brutalnych przesiedleniach górali dużo wcześniej. Matka, zazwyczaj taka łagodna i spokojna, opowiadała o nich ogromnie wzruszona. Czasem łkała przy tym rozpaczliwie. Leonie wydawało się jednak, że to wszystko dotyczyło odległych czasów, dopiero teraz zrozumiała, że nie zaniechano tych praktyk.

Matka opowiadała, jak to w 1762 r., pan John Lockhart Ross wprowadził hodowlę owiec na północy wbrew tradycji i duchowi wysoczyzn. Pięćset owiec przeżyło mimo surowego klimatu. Właściciele ziemscy wnet zwęszyli nową sposobność wzbogacenia się, bo wełna była w cenie. Ponieważ wielu z nich było na skraju bankructwa, postanowili wykorzystać swoje nie dające dochodu wrzosowiska i doliny na pastwiska. Oczywiście, należało zacząć od usunięcia mieszkańców tych ziem.

Górale od wieków stawiali czoło ciężkim zimom, prowadzili gospodarstwa, hodowali bydło. Nie mieściło im się w głowie, że oto mają opuścić domy i ziemię, którą uważali za swoją własną. Oczekiwali wsparcia od szefów klanów, ale zawiedli się. Nie wiedzieli, dlaczego zmusza się ich, by nagle wiedli nędzny żywot na wybrzeżu albo wyjechali w obce strony, dlaczego pali im się dach nad głową i traktuje jak przestępców.

Leona już w dzieciństwie słyszała o prześladowaniu górali w Sutherland, a potem w Ross. W oczach jej matki właściciele ziemscy sprzeniewierzyli się wspólnemu dziedzictwu Szkotów i zdradzili wszystko, w co wierzyła. Pani Grenville przebywała jednak daleko od rodzinnego kraju i nie miała pojęcia, jak to wyglądało naprawdę. Dziwiło ją też, dlaczego nie znalazł się nikt, kto by się ujął za Szkotami z gór.

Zacząło się to na długo, zanim Leona przyszła na świat. Cała sprawa odżyła przed pięciu laty w 1845 r., za sprawą gazety „The Times”. Wydawca, John Delane, dowiedział się, że dziewięćdziesięciu wieśniaków z Ross usunięto z Glencalvie i zmuszono do obozowania na dziedzińcu kościelnym, jako że nie mieli dokąd pójść.

„The Times” nie poświęcał, jak dotąd, wiele uwagi przesiedleniom górali, ale tym razem John Delane osobiście udał się do Szkocji i zjawił się na czas, aby zobaczyć na własne oczy, co działo się w Glencalvie. Pani Grenville czytała artykuł na głos, a łzy spływały jej po policzkach.

Delane donosił, że wszystkie chałupy w Glen opustoszały. W jednej tylko zastał umierającego starca. Pozostali mieszkańcy musieli opuścić dolinę, siedzieli, przygotowani do drogi, na zielonym zboczu, kobiety schludnie ubrane, w czerwonych albo pastelowych chustach, mężczyźni owinięci w pasterskie koce. Pogoda była wilgotna i zimna. Towarzyszyły im dwa czy trzy wozy wyładowane dziećmi.

John Delane pisał, że ta sytuacja wynikała „z zimnego, wyrachowanego okrucieństwa, równie niewiarygodnego jak odrażającego”.

- Mamo, dlaczego nikt ich nie powstrzyma? - zapytała Leona.

- Ludzie powiedzieli wydawcy „The Times”, że właściciel wcale się nie zjawił. Zarządcy, którzy występowali

w jego imieniu, zachowywali się wyjątkowo brutalnie - powiedziała matka.

Wtedy Leona tego sobie nie wyobrażała, ale teraz słysząc płacz dzieci i widząc rozpacz na twarzach ludzi, którym palono domy, czuła odrazę i gniew sprawiające jej fizyczny ból. Domyśliła się kto ponosił za to odpowiedzialność. Nie było sensu udawać, że nie wie, na czyje wjechali ziemie. To księżęcych dzierżawców wyrzucano z wioski. Czekala ich ponura wegetacja na wybrzeżu, podobnie jak ofiary wcześniejszych przesiedleń. Jedyne, co poza tym mogli zrobić, to wsiąść na statek i opuścić ojczyste strony. Wielu emigrantów umierało na pokładzie z zimna i braku żywności. Epidemie ospy i tyfusu zbierały obfite żniwo.

„Tak dalej być nie może”, myślała Leona.

Przypomniała sobie, jak matka oburzała się na owce, które wyparły górali z dolin i wrzosowisk. Zostały tam jedynie duchy tych, których odwaga i wytrwałość stanowiły niegdyś dumę Szkocji.

„Jak książę może postępować w ten sposób z własnym ludem?”, oburzała się Leona.

Rozumiała teraz doskonale, dlaczego lord Strathcairn poróżnił się z księciem. Widziała gospodarstwa i pasące się bydło na brzegach jeziora. Na jego ziemiach nie było owiec. Pełna ciepłych uczuć myślała, jak bardzo potrzebny był swoim wieśniakom. Rozumiała, że nie mógł ich opuścić, gdyż pragnął walczyć o ich sprawę. Zastanawiała się z niepokojem, co powie księciu i czy zdoła powstrzymać oskarżycielskie słowa, które, jak się obawiała, mogłyby paść z jej ust, gdy się spotkają.

„Może nie wie o tym! Może nie rozumie, jak ci ludzie cierpią!”, mówiła do siebie w myśli. Ale przecież wysiedlenia odbywały się w odległości zaledwie paru mil od zamku. Czy mógł być aż tak ślepy? A jeśli, w przeciwieństwie do wielu

możnych panów z północy mieszkających w Anglii, przebywał w swoich dobrach, jakże mógł pozostawać w nieświadomości dokonywanych pod jego bokiem okrucieństw?

Konie gnały przez wrzosowiska, a Leona pragnęła tylko jednego: wyskoczyć z karety i pobiec z powrotem do zamku Cairn. Chciałaby mieć tyle odwagi. Tymczasem jechała wciąż naprzód i nic nie mogła na to poradzić. Przerazało ją to. Po raz pierwszy żałowała, że przyjęła zaproszenie księcia i przyjechała do Szkocji.

„Jakże mu wyjaśnię, co teraz czuję?”, zastanawiała się w duchu. Brzmiał jej w uszach przerażony głos matki, kiedy czytała na głos reportaż z „The Times” i mówiła o tym, jak rozproszone góralskie klany rozjechały się w różne części świata. Cytowała często Aileana Dalia, ślepego barda z Glengarry:

Ustawiono nam crois w Szkocji
Biedni, nadzy leżymy pod nim
Bez strawy, pieniędzy, pastwisk.
Północ jest zrujnowana.

- Ailean Dall wybrał słowa bardzo znaczące - wyjaśniła matka. - Crois po gaelicku znaczy krzyż, ale nie tylko, także coś więcej, coś przerażającego, jak grzechy Sodomy i Gomory. Gaelickie słowo oznaczające pastwisko to także pojęcie pokoju, szczęścia, czegoś, co góralom odebrano na zawsze - dodała i westchnęła głęboko.

Nawet Macdonaldowie nie byli bez winy. Spośród wszystkich szefów klanów - jak kiedyś stwierdził jej ojciec - żaden nie rozporządzał swymi ludźmi tak despotycznie, jak Macdonaldowie z Glengarry albo Chisholmowie ze Stranglass.

Matka nie oponowała, szlochała tylko. Leona myślała czasami, że przesiedlenia były dla niej czymś boleśniejszym

nawet aniżeli wspomnienie masakry w Glencoe. Teraz sama zobaczyła na własne oczy sceny grozy, o których słyszała od matki.

„Jakie to straszne! Co za niegodziwość”, myślała z gniewem. Jej wzburzenie narastało w miarę, jak zbliżali się do zamku, zarazem jednak ogarniał ją strach. Nie mogła dojść do ładu z własnymi uczuciami. Powóz zboczył na koniec z drogi, którą jechali od czasu opuszczenia zamku Cairn. Wjeżdżali do głębokiej doliny. Droga, okolona ciemnymi jodłami, wiła się poprzez rozległe wrzosowe łąki. Nie spotykali po drodze gospodarstw, ale zdarzały się zrujnowane domostwa bez dachów. Leona domyślała się, że jeszcze niedawno mieszkali tam ludzie. Środkiem doliny płynęła rzeka. Droga wiodła wzdłuż brzegu. Wysokie góry wznosiły się stromo po obu stronach. Krajobraz zachwycał majestatycznym pięknem. Brakło mu słodkiego, spokojnego uroku okolic zamku Cairn, ale wywierał silne wrażenie. Leonie wydawało się, że jest w nim coś złowieszczego.

Dopiero, gdy dotarli do zamku Ardness, zdała sobie sprawę, że znajdował się on tuż nad samym morzem. Na końcu doliny widać było spienione fale morskie. Powyżej ujścia rzeki stał zamek. Widok był imponujący. Olbrzymia, niezdobyta twierdza, została zapewne zbudowana dla obrony przed atakiem wrogich klanów i wikingów. Opasane rzeką, górujące nad płaszczyzną morza szare, kamienne zamczysko budziło podziw i grozę. Przejechali most i znaleźli się na wysadzanej niskimi drzewami i gęstymi krzewami drodze wiodącej do bram zamku. W wysokiej wieży od strony morza zauważyła wąskie otwory, przez które w dawnych wiekach rażono wrogów strzałami z łuku. W części dobudowanej później, ozdobionej szesnastowiecznymi wieżyczkami zachowano strzeliste gotyckie okna.

Powóz zatrzymał się u potężnych nabijanych ćwiekami odrzwi. Wysoko w górze kamienny mur miał otwory, przez które niegdyś wylewano roztopiony ołów na niepożądanych gości. Na podwórzu kręciła się służba. Wszyscy mieli na sobie spódniczki. Przestraszonej Leonie wydawali się wielcy, brodaci i okropni, niczym ludożercy z bajki. Jeden z mężczyzn, który zdawał się przewodzić pozostałym, zaprowadził ją do sieni, a potem na górę kamiennymi schodami. Ich kroki odbijały się głośnie echem. Na szczycie schodów służący, otworzywszy drzwi, zaanonsował stentorowym głosem:

- Panna Grenville, wasza wysokość!

Leonę zaskoczyły rozmiary sali. Panował w niej półmrok, gdyż okna poniżej łukowatego sklepienia wpuszczały niewiele światła. Księżę stał przed rzeźbionym kominkiem w odległym końcu komnaty. Ruszyła w jego stronę. Czowała się małeńka wobec pana zamku ogromnej postury. Kiedy podeszła bliżej, stwierdziła, że uległa złudzeniu, pod wpływem pobudzonej strachem wyobraźni. Księżę rzeczywiście był wysoki, miał siwą brodę i niezwykle władcze maniery. Zachowywał dumną postawę mimo podeszłego wieku. Na jego twarzy widniały głębokie zmarszczki. Zrozumiała, co jej matka miała na myśli mówiąc, że ją onieśmiał. Ręka Leony utonęła w wielkiej dłoni gospodarza, jakby schwytna w pułapkę.

- Przybyłaś nareszcie! - zawołał księżę donośnym głosem.

Uśmiechał się, ale wyczuła w jego słowach wymówkę. Dygnęła dwornie. Księżę nie puszczał jej dłoni wpatrując się w Leonę tak przenikliwie, że aż się zmieszała.

- Sądzę, że wasza wysokość dowiedział się już o niewielkim wypadku, jaki zdarzył się wczoraj wieczorem.

- I w związku z którym musiałaś przenocować w zamku Cairn! To godne pożałowania. Moi woźnice winni byli zapewnić ci lepszą opiekę.

- To nie ich wina - powiedziała Leona - wiatr był bardzo silny i padał ulewny deszcz. Koła ześlizgnęły się z drogi.

- Moi ludzie dostaną nauczkę! - rzekł ksiązę ostrym tonem. - Ale dobrze, że już jesteś!

- Tak jest - przytaknęła dziewczyna - ale, wasza wysokość, w drodze byłam świadkiem okropnego wydarzenia.

- A mianowicie? - pytanie zabrzmiało jak wystrzał.

- Widziałam eksmisję, wasza wysokość, Ksiązę milczał, więc Leona mówiła dalej:

- Nigdy w życiu nie widziałam tak odrażającego i rozdzierającego serce widowiska. - Siła się na stanowczość, ale głos jej drżał. - Matka dużo mi opowiadała o wysiedleniach, ale nie sądziłam, że zdarzają się w naszych czasach... Nie w Ardness!

- W każdym razie, pozostała tylko jedna dolina, w której paru krnąbrnych durni nie słucha tego, co im się każe - odparł ksiązę.

- Palono ich domy!

- Nie miałaś prawa zatrzymywać się tam! - zawołał ksiązę.

- To nie ma znaczenia - odrzekła Leona. - To było straszne, jedno dziecko omal nie spłonęło żywcem!

Ksiązę poruszył się niecierpliwie. Był zagniewany.

- Długo podróżowałaś i pewnie chciałybyś odświeżyć się przed posiłkiem - powiedział chłodno. - Zaprowadzą cię do twej sypialni.

Położył rękę na dzwonku. Leona wiele jeszcze miała do powiedzenia, ale słowa zamarły jej na ustach. Ksiązę pozbywał się jej jak dokuczliwej muchy, a to, o czym mu mówiła, nie obeszło go wcale. Ogarnęło ją dojmujące poczucie bezradności. Zanim odzyskała głos i zebrała myśli, służący poprowadził ją korytarzem do obszernej sypialni,

gdzie czekała gospodyni i dwie pokojówki. Wszystkie trzy dygnęły w ukłonie.

- Jestem pani McKenzie - przedstawiła się gospodyni. - A to Maggy i Janet. Jesteśmy na usługi panienki.

- Dziękuję - powiedziała Leona.

- Jego wysokość rozkazał, żeby panienka zaraz dostała wszystko, czego zażąda.

- Dziękuję - powtórzyła Leona.

Ciekawa była, co by się stało, gdyby poprosiła o wysłanie żywności i odzieży chłopskim rodzinom, które wyrzucano z domów. Chciała to zrobić, ale nie starczyło jej odwagi.

„Nic dziwnego, że lord Strathcairn pokłócił się z księciem," pomyślała i nagle zatęskniła za spokojnym i bezpiecznym zamkiem Cairn,.. Ale w gruncie rzeczy, może była to tęsknota za... panem owego zamku?

Rozdział 3

Leona podeszła do umywalki. Jedna ze służących nalała ciepłej wody do miski.

- Czy panienka zechce się przebrać? - zapytała pani McKenzie.

- Chętnie to zrobię - odparła Leona. - Moja suknia podróżna jest gruba i ciężka, a dzisiaj jest przecież bardzo ciepło.

- Słońce okropnie piecze w południe - zgodziła się pani McKenzie. - Ma panienka może ochotę włożyć którąś z nowych sukien.

- Nowych sukien? - zdumiała się Leona.

Zauważyła, że służące wcale nie zabierały się do rozpakowania jej kufra. Zamiast odpowiedzi pani McKenzie na oścież otworzyła drzwi szafy. Wewnątrz wisiało kilka toalet na różne okazje. Leona przyglądała im się zaskoczona.

- Do kogo one należą? - zapytała.

- Do panienki - odparła pani McKenzie. - Jego wysokość zamówił je w Edynburgu. Czekamy na następne.

- Książę zamówił je dla mnie?! - wykrzyknęła Leona. - Ale dlaczego i skąd jego wysokość znał mój rozmiar?

Pani McKenzie uśmiechnęła się.

- Jego wysokość powiedział mi, panienko, że dobrze pamięta panią Grenville, która napisała do księżnej Jean, że jej córka jest taka sama jak ona w młodości.

Leona przypomniała sobie, że matka rzeczywiście pisała o tym w liście do księżnej.

- Dlaczego jego wysokość zapragnął podarować mi suknie? - zapytała. - Jakże to miło z jego strony.

- Jego wysokość chce, żeby panienka była szczęśliwa skoro zamieszka z nami w zamku Ardnass.

Leonie wydawało się raczej przerażające, że bez jej udziału podejmowano tak ważne decyzje w jej sprawach. Jak

zauroczona podeszła do szafy. Suknie były wspaniałe. Miały szerokie krynoliny, o jakich zawsze marzyła, oraz obcisłe staniki uwypuklające smukłą talię. Suknie wieczorowe uszyto ze szczególnym kunsztem, ich ozdobę stanowiły hafty, piękne koronkowe kołnierze i pęki sztucznych kwiatów.

- Prześliczne, po prostu są prześliczne! - wykrzyknęła -

- Jego wysokość miał nadzieję, że spodoba ją się pani -
- uśmiechnęła się pani McKenzie. - Wydał szczegółowe instrukcje najlepszemu krawcowi w Edynburgu. Z pewnością się nie rozczaruje, kiedy w nich panienkę zobaczy.

- Mam nadzieję - powiedziała Leona.

Zdjęła starą suknię uświadamiając sobie, jak ubogo i skromnie prezentowała się ona przy nowych. Wybrała śliczną suknię z grubego zielonego jedwabiu o dekolcie obszytym koronką. Ciasno zapinana aż do pasa na guziczki, spływała szerokimi fałdami na ziemię. Leona przyglądała się sobie w lustrze ze zdumieniem. Nie mogła uwierzyć, że znalazła się w posiadaniu stroju tak wspaniałego i uszytego po mistrzowsku.

- Nieco za szeroka w pasie, panienko - mówiła pani McKenzie - teraz będę już wiedziała, jak poprawić pozostałe. Ma panienka śliczną sukienkę do kolacji na dzisiejszy wieczór. .

Onieśmiona hojnością księcia i skrepowana wspaniałością swego ubioru, Leona zeszła do obszernej sali, do której zaprowadzono ją po przyjeździe do zamku. Książę czekał już na nią. W jego oczach, jak jej się wydawało, dostrzegła aprobatę. Dygnęła.

- Czuję się zawstydzona łaskawością księcia. Mam jedynie nadzieję, że wasza wysokość nie uzna, że jego trud poszedł na marne.

- Wyglądasz pięknie - odezwał się książę. - Spodziewam się, że nie jestem pierwszym, który cię o tym zapewnia.

Leona uśmiechnęła się.

- Wiodłam spokojne życie na wsi, a mama niedomagała w ostatnim rolni.

- Tak, tak, oczywiście - przytaknął książę. - Dlatego też sadziłem, że będziesz mieć wiele potrzeb, których nie omieszkać zaspokoić.

- Książę jest niezwykle troskliwy i wspaniałomyślny.

- Pragnę abyś wiedziała - odparł książę - że mój zamek jest teraz twoim domem i zajmiesz w nim miejsce mojej córki.

- Córki? A co się z nią stało?! - wykrzyknęła Leona pamiętając, że matka wspominała o dzieciach księżnej.

- Moja córka nie żyje.

- Och... Tak mi przykro.

- Zmarła dwa lata temu. Była młodsza od ciebie i słabego zdrowia - w głosie księcia brzmiała nutka cierpienia.

- Tak mi przykro - powtórzyła. - Ale ma książę inne dzieci?

- Mam syna.

Leona chciała zapytać, czy będzie miała okazję go poznać, gdy książę oznajmił:

- Do stołu już podano. Sądzę, że zgłodniałaś po podróży.

- O, tak, wasza wysokość.

Mówiąc to Leona przypomniała sobie płacz dzieci wysiedlanych wieśniaków. Nie była pewna, czy zdoła przełknąć cokolwiek. Pragnęła porozmawiać z księciem, błagać o łaskę, dowiedzieć się, czy zadbano o to, aby pozbawionym domu ludziom zapewnić schronienie. Nie była w stanie wyrzec słowa. Zdawała sobie sprawę, że gdyby wróciła do tego tematu, książę przerwałby rozmowę. Postanowiła jednak, że nie będzie tchórzem. Prędzej czy później porozmawia z nim. Podczas posiłku nie było ku temu sposobności. Spodziewała się, że spożyją kolację we dwoje. Zaskoczyła ją liczba biesiadników w sali jadalnej. Pomieszczenie było ogromne, dużo większe niż pokój stołowy

w zamku Cairn, urządzone z wielkopańskim przepychem. Przy stole pomieściłoby się z łatwością trzydzieści albo i więcej osób. Zasiadło ich ośmioro. Poza księciem i Leoną byli tam: dwie podeszłe wiekiem krewne księcia, które mieszkały w zamku, jego siostra przybyła w odwiedziny, dwaj sąsiedzi oraz pastor z wioski rybackiej położonej u ujścia rzeki.

„Może zdołam pomówić z pastorem,” pomyślała Leona, gdy dokonano prezentacji. Podczas posiłku zorientowała się jednak szybko, że pastor jest całkowicie pod wpływem księcia, gotów spełnić każde jego żądanie. Podejrzewała, że bez książęcego przyzwolenia, nie udzieliliby nawet wyrzuconym wieśniakom gościny na dziedzińcu przykościelnym. Jakkolwiek sprawa ta nie dawała jej spokoju, Leona uznała, iż wprawiając teraz księcia w rozdrażnienie nic nie zyska. Pamiętała wyraz gniewu na jego twarzy i chłodne słowa, gdy ośmieliła się wspomnieć o eksmisjach.

- Leona Grenville zamieszka z nami - książę zwrócił się do krewnych - musimy zatem dopilnować, aby nie brakło jej rozrywek, w innym bowiem razie uzna Szkocję za najnudniejsze miejsce pod słońcem.

- Zapewniam waszą wysokość - wtrąciła Leona - że w Anglii żyliśmy bardzo spokojnie. Kocham wieś i proszę nie robić sobie kłopotu z wynajdowaniem dla mnie zabaw. - Spojrzawszy w kierunku oświetlonego słońcem okna ciągnęła: - Pragnęłabym znaleźć biały wrzos, który, jak mówiła mi mama, przynosi szczęście, zobaczyć łososie w rzece i pardwy na wrzosowiskach.

- Przyrzekam, że będziesz to wszystko oglądała - powiedział książę. - Czy umiesz jeździć konno?

- Uwielbiam - odparła Leona.

- Konie w stajni są do twojej dyspozycji - zapewnił książę. - Na wyprawy po wrzosowiskach nie ma to jak

wytrzymałe i dzielne ardneńskie kucyki, znane i poza granicami naszej krainy.

- Nie będę mogła się doczekać, kiedy dosiędę jednego z nich.

Wszyscy byli dla niej mili i starali się sprawić jej przyjemność. Leona nie chciała okazać się niewdzięczna i odwzajemniała ich uprzejmość. Cały czas myślała jednak o lordzie Strathcairnie i o tym, jak bezpieczna czuła się w jego towarzystwie. Być może ogrom zamku i pewna obawa, jaką pomimo Wszystko, wzbudzał w niej książę, sprawiały, że nie czuła się w Ardness swobodnie.

Po obiedzie książę zapytał, czy nie chciałaby obejrzeć innych komnat, i zaprowadził ją najpierw do „komnaty wodza,” która, inaczej niż w zamku Cairn, znajdowała się na parterze. Była to wielka sala, wspaniale urządzona i wywarła na Leonie duże wrażenie.

- Tutaj zbierali się członkowie klanu, kiedy atakowały nas bandy maruderów z powaśnionych klanów - wyjaśnił książę - albo kiedy statki wikingów pojawiały się w zasięgu wzroku.

Leona pomyślała, że było tam dość miejsca, aby pomieścić setki rodzin. Na ścianach wisiały trofea wojenne, w tym chorągiew zdobyta na Anglikach w bitwie pod Preston Pans.

- Wspaniale! - wyraziła uznanie Leona w odpowiedzi na nieme pytanie księcia.

- To najwspanialsza „komnata wodza” w całej Szkocji - odparł. - Na ścianach widnieją herby rodzin skoligaconych z nami w ciągu wieków. Pierwszy tytuł arystokratyczny rodu - erl - wywodzi się z XII wieku, ale księstwo powstało stosunkowo niedawno. Godność szefa klanu McArdnów jest dziedziczna.

- Jakie to wszystko jest zajmujące - powiedziała Leona. - Pański syn z kolei zastąpi pana!

- Tak jest!

Książę oprowadził Leonę po zamku pokazując jej pamiątki przeszłości, skarby nagromadzone przez setki lat. Za ciężkimi dębowymi drzwiami zobaczyła kamienne stopnie.

- Prowadzą na wieżę - powiedział. - W czasach naszych przodków pełniono tam straż w dzień i w nocy, aby nie dać się zaskoczyć normandzkim rabusiom.

- Czy udało im się kiedykolwiek opanować zamek? - zapytała Leona.

- Tylko raz. Siedzieli tu przez dwa miesiące - odparł książę uśmiechając się lekko. - Według legendy wysoki wzrost wielu członków mojego klanu bierze się stąd, że mają normandzką krew w żyłach. Nie ulega wątpliwości, że wśród McArdnów jest sporo jasnowłosych mężczyzn, którzy przypominają bardziej Skandynawów aniżeli Szkotów.

- Zauważyłam od razu, że wśród służących pańskich jest wielu ludzi wysokiego wzrostu.

- Są specjalnie dobrani - odparł książę. - Czy wejdziemy na górę?

- O tak, proszę.

Książę poszedł przodem. Kamienne schody wznosiły się spiralą w środku wieży. Wąskie otwory strzelnic skąpo wpuszczały do wnętrza światło. Za następnymi dębowymi drzwiami, na samej górze, schody się kończyły. Tu był szczyt wieży. Widok, jaki rozpościerał się przed ich oczami, zapierał dech w piersiach.

Na wschodzie rozciągał się bezkres morza, na północy widać było ciemny zarys gór, na zachodzie leżała głęboka dolina - wzdłuż niej wiodła droga, którą Leona przybyła do zamku. W tym pięknie kryło się jednak coś groźnego.

Leona rozglądała się wokół. Zatrzymała wzrok na małej wiosce leżącej prawie na wprost, pod nimi, w miejscu gdzie

rzeka wpadała do morza. Zobaczyła port o kamiennych nabrzeżach i parę łodzi rybackich zacumowanych przy molo.

- Czy ci ludzie mają pracę?

- Zawsze znajdzie się praca dla tych, którzy jej szukają - odpowiedział książę.

- Ale czy nie jest to praca dla ludzi, którzy przywykli do morza i dobrze je znają? - dopytywała się dalej, myśląc, oczywiście, o mieszkańcach górskiej doliny; jedyne na czym się znali, to uprawa roli i hodowla bydła.

- Wartownik na wieży miał dość czasu, aby zawiadomić wodza o niebezpieczeństwie bez względu na to, skąd wróg przybywał - książę kontynuował opowiadanie, jakby nie zrozumiał aluzji.

Leona przygryzała wargi tłumiąc słowa cisnące się jej na usta. Zdawała sobie sprawę, że książę wiedział, co jej leży na sercu, ale nie miał zamiaru dopuścić do rozmowy na ten temat. Zbywał ją lekceważąco. Musiała milczeć wbrew sobie. Historie o wikingach, o długich łodziach pojawiających się niespodziewanie u ujścia rzeki zainteresowałyby ją bez wątpienia, gdyby potrafiła zapomnieć o nędzy i niedoli ardneńskich górali.

Myślała o tym, że kobiety, dźwigając dzieci, będą musiały przebyć długą drogę na wybrzeże. Może zapakują rzeczy na wózki, ale zwierzęta domowe będą musiały gnać przed sobą. Cóż mogła powiedzieć? Czy jest w stanie im pomóc?

Była bezsilna. Książę, skończywszy opowieść o normandzkich wojownikach, przepuścił ją przodem po kamiennych schodach i zamknął drzwi na wieżę. W zamku było jeszcze wiele do zwiedzania. Obiad jedli późno. Wkrótce nadeszła pora na herbatę.

Książę zaprowadził ją do innej komnaty, mniejszej i przytulniejszej niż ta, w której zazwyczaj jadano. Zastali tam siostrę księcia oraz jego kuzynki czekające z herbatą. Zasiedli

przy stole, aby spożyć słynne szkockie przysmaki, znane Leonie z matczynych opowiadań. Były tam rozmaite ciasta i pierniki, owocowe placki i inne słodczyce.

- Jesz jak ptaszek - powiedziała księżęca siostra. - Musisz przywyknąć do obfitych posiłków, do których tu zasiadamy. Wspaniały apetyt zawdzięczamy pewnie świeżemu powietrzu.

- O, z pewnością - odparta Leona i pomyślała, że utyłaby pewnie straszliwie, gdyby tyle jadła.

- Przypuszczam, że masz ochotę odpocząć przed kolacją - rzekła siostra księcia, gdy dopito herbatę.

- Chciałabym napisać list - odpowiedziała Leona,

- W sypialni znajdziesz biurko ze wszystkimi przyborami. Pani McKenzie zadba, aby niczego ci nie zabrakło.

- Dziękuję.

Leona ukłoniła się uprzejmie i pożegnała towarzystwo. Gdy z pewnym wysiłkiem domykała ciężkie drzwi, usłyszała głos siostry księcia:

- Miła i czarująca młoda dziewczyna. Rozumiem teraz, dlaczego mój brat tak się ucieszył z jej przybycia.

- Tak, jest przeurocza! - przytaknęła druga dama. - A jak tam Euan?

- Jest równie miły - odparła pierwsza - ale nie wspominaj o nim jego wysokości.

- Nie, oczywiście, że nie. Bardzo uważam na słowa, od czasu gdy mnie ostrzegłaś...

Leona uporała się z drzwiami. Zastanawiała się, kim jest Euan. Idąc korytarzem w stronę sypialni, przypomniała sobie, że już słyszała to imię. Widniało na samym dole drzewa genealogicznego, które księżę pokazywał jej z dumą w „komnacie wodza”. Miał się czym szczycić. Ukazywało ono wszystkie odgałęzienia rodu McArdnów, którzy w ciągu wieków koligacili się z najprzedniejszymi rodzinami Szkocji. Imię zamykające długą listę erłów, a potem książąt brzmiało

Euan, markiz Ardness. Był to tytuł noszony przez pierworodnego syna księcia, w tym wypadku jedyne go syna. Nie rozumiała, o co chodziło. Może chorował? Ale dlaczego, w takim razie ojciec nie życzył sobie o nim mówić? Kryła się w tym tajemnica. Zdawała sobie jednak sprawę, że książe niczego jej nie powie, jeśli nie będzie miał na to ochoty. „Dowiem się w swoim czasie”, pomyślała.

W sypialni, pod oknem, znalazła biurko, którego przedtem nie zauważyła. Zasiadła do pisania. Umieściła kawałek grubego papieru w suszce i umoczyła pióro w atramencie.

„Drogi lordzie Strathcairn”, zaczęła. Wystarczyło napisać jego imię, aby stanął jej w pamięci jak żywy - jego twarz o wyrazistych rysach, sposób bycia znamionujący siłę charakteru i jakże odmienny od przytłaczających, władczych manier księcia. Był prawdziwym wodzem. Przypomniła sobie niezwykle, onieśmielające, a zarazem ekscytujące uczucie, jakiego doznała, gdy spojrzeli sobie w oczy. Skomplementował jej urodę i obiecał pomoc. Ogromnie pragnęła go zobaczyć i usłyszeć jego głos. „Dostanę się jakoś do zamku Cairn”, postanowiła. Nie była pewna, czy ośmieliłaby się prosić księcia, aby wysłał ją tam powozem. Przeczowała, że odmówi, jakkolwiek nie wiedziała, dlaczego. Ostatecznie, nie miała nic wspólnego z ich kłótniami i sporami z przeszłości. Zastanowiła się potem, czy dzieląca ich waśń rzeczywiście należała do przeszłości. Czy nie chodziło o eksmisję? Żałowała, że lord Strathcairn nie wyznał jej wszystkiego. Dlaczego jej nie uprzedził? I dlaczego stał się nagle taki chłodny i jakby odsunął się od niej, gdy zadała mu niewinne, zdawałoby się, pytanie?

„Wszystko w Szkocji jest takie tajemnicze”, pomyślała i przypomniała sobie rozmowę dwóch dam. Dlaczego goście księcia nie mogli wspomnieć przy nim o jego własnym synu?

Papier leżał na biurku, zabrała się do pisania:

Wielkie dzięki za Pańską uprzejmość. Przede wszystkim zaś, za okazaną mi pomoc po wypadku. Po drugie, za pokazanie mi odrobiny Szkocji, którą kochała moja matka. Wszystko było jeszcze wspanialsze, niż sobie wyobrażałam.

Nigdy nie zapomnę przepięknego jeziora i muzyki kobzy. Trudno mi to wysłować, ale słysząc ją, poczułam, jak odzywa się we mnie szkocka krew, i zrozumiałam, że tutaj jest moje miejsce.

Pragnęłabym bardzo zobaczyć ponownie waszą lordowską mość i spodziewam się, że będzie to możliwe. Jeśli nie zdołam przybyć powozem, może uda mi się pewnego dnia wjechać w granicę pańskich włości karmo. Jeszcze raz składam wyrazy najgłębszej wdzięczności za wszystko.

Zachowuję cudowne wspomnienie z pobytu w Pańskim zamku.

Z wyrazami czci i szacunku, Leona Grenville

Przeczytała list kilka razy, ale wydawało jej się, że nie zdołała wyrazić tego, co naprawdę czuła w głębi serca. Napisała adres i poruszyła dzwonkiem. Po chwili zjawiała się Maggy, pokojówka.

- Dzwoniła panienka?

- Tak, Maggy. Chciałabym, aby odniesiono ten list na pocztę.

- Wszystkie listy kładzie się na stole, w sieni, panienko.

- Proszę więc, abyś go wzięła i tam położyła, Maggy.

- Tak zrobię, panienko. Pokojówka ujęła kopertę i zapytała:

- Czy coś jeszcze, panienko?

- Teraz trochę odpocznę - odparła Leona. - Ale przyjdź za chwilę, to pomożesz mi zdjąć suknię.

- Tak jest, panienko.

Służąca zniknęła. Leona podeszła do półki z książkami w głębi pokoju. Wybrała jedną, która wydała jej się interesująca,

i kiedy Maggy wróciła i pomogła jej się rozebrać, ułożyła się na łóżku i okryła ciepłą kołdrą. Otworzyła książkę. W gruncie rzeczy nie potrzebowała odpoczynku, uznała jednak, że siostra księcia i pozostałe damy chciały, aby się oddaliła. Może obawiały się, że w przeciwnym razie musiałyby ją zabawiać. „Jest mi dobrze samej”, stwierdziła Leona.

Książka leżała otwarta, ale Leona nie widziała liter. Zastanawiała się, co pomyśli lord Strathcairn, gdy otrzyma jej list. Czy jej podziękowania były wystarczające? Czy dostatecznie jasno wyraziła swoją wdzięczność? „Muszę go zobaczyć! Muszę!”, szepnęła do siebie.

Zamek Cairn znajdował się w odległości zaledwie trzech mil stąd, jeśliby jechała przez wrzosowiska. Może przemawiała przez nią próżność, może się myliła, ale przeczuwała, że będzie czekał na nią w pobliżu granicznego kopca.

„Gdybym tylko mogła zostać wtedy dłużej”, pomyślała. Potem przyszło jej do głowy, że jest bardzo niewdzięczna. Książę okazał jej niezwykłą uprzejmość. Podarował jej piękne suknie i zadawał sobie wiele trudu, aby wydać jej się miłym. Poświęcał swój czas oprowadzając ją po zamku i pokazując wieżę.

„Mama byłaby zachwycona, że jestem tutaj”, powiedziała do siebie.

Wędrując po zamku widziała wiele portretów księżnej. Twarz portretowanej tchnęła słodyczą i łagodnością, tak jak twarz jej własnej matki. Leona żałowała, że księżna nie żyje. „Mogłybyśmy rozmawiać o mamie”, myślała. Zatęskniła nagle strasznie za matką. Chciałaby jej opowiedzieć o Strathcairnie, poprosić o radę w sprawie wysiedleńców, usłyszeć od niej potwierdzenie, że jest bezpieczna w zamku Ardness.

„Mam po prostu wybujałą wyobraźnię” - powiedziała do siebie - „ale coś w tym jest... I chyba się nie mylę!”

Często zdawało jej się, że matka posiada zdolności jasnowidzenia. Pani Grenville przyznawała rzeczywiście, że głos wewnętrzny mówi jej czasami o rzeczach, o których inni nie mają pojęcia. Śmiała się z tego głośno.

- Historia Macdonaidów przesiąknięta jest przesadami - mawiała. - W Glencoe wierzą w szaleńców obdarzonych nadprzyrodzoną mocą oraz w ogromne czarne koty, które zbierały się przed dniem Wszystkich Świętych, aby płatać ludziom złośliwe figle. Leona była zachwycona słuchając jej opowiadań.

- Opowiedz mi coś jeszcze, mamo! - prosiła. Matka śmiała się.

- Macdonaldowie w owych czasach wierzyli w złośliwe chochliki oraz w dobre wróżki mieszkające w gałęziach wierzb i dębów w Achnacore.

- Jakże bym chciała jedną z nich zobaczyć! - mówiła do matki.

- Kiedy zbliżało się jakieś nieszczęście - ciągnęła matka - nocą widziano wędrującego przez pola olbrzyma, krowy uciekały z pastwisk porykując żałośnie, a głosy ludzi, którzy mieli umrzeć, rozlegały się w ciemnościach, chociaż oni sami nadal siedzieli bezpiecznie w domu, przy ogniu.

Leona drżała ze strachu, ale domagała się stanowczo, by matka opowiadała dalej.

- Wierzą, że istnieją mężczyźni i kobiety o „złym spojrzeniu” - wiodła swoją opowieść matka - i tacy, którzy przenikali wzrokiem ziemię i potrafili powiedzieć, co dzieje się za górami.

- Czy byli też tacy, którzy przepowiadali przyszłość? - pytała Leona, choć znała z góry odpowiedź, pragnęła usłyszeć ją jeszcze raz,

- Był wróżbita, który ugotowawszy łopatkę barania, odgadywał przyszłe wydarzenia ze znaków na oczyszczonej kości.

- To ciekawsze niż cygańskie wróżenie z kart!

- I bliższe prawdy - przyznawała pani Grenville. - Poza tym wierzono także w „wewnętrzne spojrzenie,” chociaż niemądrze było pytać takich ludzi o przyszłość, gdyż mogło to przynieść nieszczęście.

„Nie posiadam wewnętrznego spojrzenia - myślała teraz Leona - ale ponieważ jestem pół Szkotką, nastrój miejsca działa na mnie tak silnie. - Wybuchnęła śmiechem. - To po prostu bujna wyobraźnia.” A jednak, kiedy lord Strathcairn trzymał ją w ramionach, czuła, że może mu ufać i nie stanie się jej żadna krzywda.

Teraz kiedy o tym myślała, musiała przyznać, że przebywanie w zamku z młodym mężczyzną było dla dziewczyny takiej jak ona czymś niestosownym. Jednakże, w siedzibie McCairnów ani przez chwilę nie czuła się przestraszona ani obca. W zamku Ardness było inaczej. Bała się czegoś, a choć nie umiała tego nazwać, wiedziała, że to nie jest tylko gra wyobraźni.

Zmusiła się do lektury, ale złapała się na tym, że nasłuchuje w ciszy, którą mącił jedynie śpiew ptaków za oknem. Rozglądała się też po sypialni, całkiem zwyczajnej, tyle że rozległej i luksusowo urządzonej. „Gdyby tak mama tu była”, westchnęła ponownie. Pomyślała, że matka wiedziałaby doskonale, co ją gnębi.

Zapomniała o smutnych myślach, kiedy pani McKenzie i służące przygotowały jej kąpiel, a potem pomogły jej wystroić się w jedną z nowych wieczorowych toalet. Tak wspaniałego stroju Leona jeszcze nigdy w życiu na sobie nie miała,

Z wąskiej talii spływała obszerna krynolina. Leona patrzyła z zachwytem na plisowaną spódnicę i koronkowy

kołnierzyk haftowany błyszczącą nicią i przyozdobiony małymi, różnymi paczuszkami.

- Wygląda panienka ślicznie! - wykrzyknęła pani McKenzie. - Jakby się panienka wybierała na bal, a nie na kolację ze starymi ludźmi.

- Piękniejszej sukni nie mogłabym sobie wymarzyć! - zawołała Leona.

- Jego wysokość będzie zadowolony, że się panience podoba.

Leona szła korytarzem zerkając w mijane po drodze lustra. Starła się nie myśleć o tym, jak bardzo by chciała, aby Strathcairn ujrzał ją tak ubraną, a nie w skromnym stroju, jaki włożyła do wczorajszej kolacji.

Była już na szczycie schodów i miała wejść do pokoju księcia, w którym, jak powiedziała jej pani McKenzie, goście zbierali się przed kolacją, gdy usłyszała głosy w sieni. Spojrzała ponad kamienną balustradą i dostrzegła księcia. Wspaniale prezentował się w wieczorowym stroju. Rozmawiał z majordomusem - człowiekiem, który zajął się nią, gdy rano przybyła do zamku. Sługa pokazywał coś księciu. Leona chciała odejść, by jej nie posądzono o szpiegowanie, lecz nagle zdała sobie sprawę, że mężczyzna trzyma w ręku list, który napisała do lorda Strathcairna. Mówili na ten temat po gaelicku, toteż Leona - która nie знаła tego języka - niczego nie rozumiała.

Nagle zobaczyła, że ksiązę bierze list i idąc przez sień, wrzuca go w ogień płonący na kominku. Zamarła ze zdumienia i oburzenia nie wierząc własnym oczom. Gdy papier zajął się ogniem, ksiązę spojrział w górę. Leona cofnęła się instynktownie.

Dywan tłumiał jej kroki, gdy biegła do drzwi salonu. Weszła do środka, nim ksiązę dotarł do miejsca, gdzie schody skręcały. Dygotała z gniewu. Obok złości czuła także głęboki

lęk, który nurtował ją podświadomie, odkąd zobaczyła zamek po raz pierwszy. Umiała teraz nazwać tę obawę - chciano uniemożliwić jej ucieczkę, zamknąć jak w więzieniu. Spróbowała się opanować; popatrzyła przez okno, w dal, na morze.

- Wcześniej zesłaś! - usłyszała głos księcia za plecami.

- Tak, istotnie, wasza wysokość. - Odezwała się do niego z wysiłkiem. - Włożyłam kolejną z pięknych sukien, które książę zechciał mi podarować. Nie wiem, jak mam dziękować. Nigdy w życiu nie ubierałam się tak wytwornie.

- Cieszę się, że ci się podoba - powiedział książę - bardzo ci w niej do twarzy, ale czegoś tu jeszcze brak.

- Co książę ma na myśli? - zapytała Leona. Książę wyciągnął z kieszeni marynarki małe aksamitne pudełko. Zaskoczona, wzięła je odruchowo do ręki.

- To prezent. Mam nadzieję, że sprawi ci radość. - Mówił uspokajającym tonem, jak do wystraszonego dziecka. Leona otworzyła pudełko. Wewnątrz znajdował się prześliczny, niezbyt długi naszyjnik z pereł. Wymarzona ozdoba dla młodej dziewczyny.

- Ależ... Nie mogę tego przyjąć! - wykrzyknęła.

- Należał do mojej żony - powiedział książę. - Księżna tak bardzo kochała twoją matkę, że z pewnością byłaby szczęśliwa, że trafił w twoje ręce.

- To nadmiar łaskawości... Nie wiem, co powiedzieć - wyjąkała Leona.

Książę uśmiechnął się i wyjął perły ze szkatułki.

- Pozwól że założę ci je na szyję. - Zatrzasnął klamerkę, gdy się odwróciła posłusznie, schylając głowę.

- Obejrzyj się w tamtym lustrze - poradził książę. Musiała przyznać mu rację. Teraz jej strojowi nie można było niczego zarzucić. Koronkowy kołnierz podkreślał biel jej ramion, a

perły, otaczające miękko zaokrągloną szyję, dodawały jej wykwintu, którego przedtem jakby brakowało.

- Dziękuję. Jeszcze raz dziękuję! - wykrzyknęła Leona. - Nie wiem jednak, dlaczego książę jest dla mnie tak łaskaw.

- Wiele jest powodów - odparł książę - na razie niech ci wystarczy ten, że pragnę, abyś była szczęśliwa w zamku Ardness.

- Trudno nie być szczęśliwą w tych okolicznościach - odrzekła Leona,

Mówiąc to, zadawała sobie w duszy pytania, na które nie znajdowała odpowiedzi. Dlaczego książę spalił jej list? Dlaczego nie wolno było wspominać imienia jego syna Euana? I czemu, wydając się tak łaskawym, dopuszczał się takiego okrucieństwa, jak wysiedlanie własnego ludu? Nie mogła, oczywiście, poruszyć teraz tego tematu.

Na kolacji było więcej osób niż na obiedzie. Leona dowiedziała się, że w zamku przebywa sporo starszych i w średnim wieku mężczyzn, którzy za dnia polowali na pardwy lub łowili ryby. Wieczorem dzielili się wrażeniami. Dla ozdoby prawie wyłącznie męskiego towarzystwa zaproszono także kilka okolicznych dam, które przyglądały się Leonie z nie ukrywaną ciekawością. Raz jeszcze książę wyjaśnił, że dziewczyna jest nową mieszkanką zamku Ardness. Wydawało się jej, że w oczach przyglądających się jej ludzi spostrzega nie tylko ciekawość, ale i dziwny namysł. Bawiła się jednak dobrze, gdyż starsi dżentelmeni z największą chęcią prawili jej komplementy i uprzyjemniali biesiadę rozmową. Większość z nich pochodziła z północnych okolic Anglii albo z południa Szkocji.

- Korzystamy z gościny księcia co roku - odezwał się do Leony jeden z nich. - W Ardness poluje się dużo lepiej, moim zdaniem, aniżeli gdziekolwiek indziej na północy.

Pochylił się, mówiąc do księcia siedzącego nieco dalej przy stole.

- A przy okazji, książę, pańskie owce pomieszały nam dzisiaj szyki na polowaniu.

- Doprawdy?

- Płoszyły ptaki, nim te znalazły się w zasięgu strzału.

- Porozmawiam z zarządcą - obiecał książę.

- Proszę o to usilnie - odparł myśliwy. - Owce przysparzają dochodów waszej wysokości, ale nasze myśliwskie sakwy pozostaną puste.

Książę nie odpowiedział i mężczyzna, najwyraźniej Anglik, zwrócił się ponownie ku Leonie.

- Owce stanowią obsesję właścicieli ziemskich z północy - rzekł - ale podobno ma pojawić się na rynku wełna z Australii, a to obniży drastycznie cenę szkockiej wełny.

- W takim razie - powiedziała cicho Leona - może zastępowanie owcami ludzi okaże się niewłaściwym krokiem!

- Ton jej głosu kazał rozmówcy spojrzeć na nią uważniej.

- Myśli pani o wysiedleniach.

- Tak jest w istocie!

- Czytałem o tym coś niecoś w „The Times”. To okropna niegodziwość.

- Czy coś zostanie zrobione w tej sprawie? - zapytała Leona.

Wzruszył ramionami.

- Co mogą uczynić mieszkańcy Anglii? O ile wiem, planuje się kolejne przesiedlenia na South Uist, na Barra i Skye.

- O nie! - zawołała Leona. - Dlaczego nikt nie zwróci się do królowej?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Nawet królowa niewielką ma władzę nad możnymi panami Szkocji, do których należy i nasz gospodarz - odrzekł,

a następnie, tak jakby poczuł się nagle zakłopotany, odwrócił się i zagadnął damę po drugiej stronie stołu.

„Nic nie mogę zrobić, zupełnie nic!”, pomyślała Leona. Ciekawa była, czy gdyby bardziej nalegała, księżę naprawdę by się rozgniewał i kazał jej opuścić zamek. Okazał jej tyle dobroci, że powinna być mu wdzięczna. Teraz jednak miała wrażenie, że dary w postaci pięknych toalet i sznura pereł maskowały podstęp, zdradę, niczym trzydzieści judaszowych srebrników.

Po kolacji, gdy kobziarz, zgodnie z tradycją, obszedł komnatę dookoła, wszystkie damy przeszły do sąsiedniego pomieszczenia, kolejnego tchnącego przepychem salonu. Urządziła go, jak dowiedziała się Leona, zmarła księżna. Odznaczał się finezyjną elegancją, meble wykonano podług wzorów mody francuskiej, zasłony i dywan zachwycaly wzorem i świetnością materii. Na polerowanych stołach rozstawiono objets d'art, należące zapewne do prywatnej kolekcji księżnej. Były tam inkrustowane emalią i klejnotami tabakiery w stylu króla Jerzego, porcelana z Sevres i pięknie rzeźbione ozdoby z nefrytu.

Podczas gdy oglądała te wszystkie cuda, podeszła do niej jedna z dam, zwana lady Bowden.

- Pani suknia znakomicie pasuje do tego salonu, panno Grenville - powiedziała miłym głosem.

- Dziękuję pani za komplement.

- Nieczęsto spotykamy w zamku osobę tak młodą i śliczną - ciągnęła lady Bowden. - Księżę wspominał, że zamieszka pani tutaj.

- Tak, pani. Moi rodzice nie żyją, a moja matka była serdeczną przyjaciółką księżnej Jean.

Lady Bowden westchnęła.

- Wszyscy żałujemy księżnej. Miała tyle uroku. W gruncie rzeczy, to ona ożywiła nieco mroczną atmosferę panującą w zamku.

Leona spojrzała pytająco. Dama uśmiechnęła się, po czym mówiła dalej:

- Zawsze, kiedy tu przychodzę, mam wrażenie, że znajduję się w pałacu olbrzyma - ludożercy, Czy pani tego tak nie odczuwa?

Leona roześmiała się. Rozumiała lady Bowden doskonale. Stały obie w pewnym oddaleniu od reszty towarzystwa. Dama spojrzała przez ramię i zniżyła głos.

- Książę daje się trochę wszystkim we znaki od śmierci żony. Może zdoła pani wywrzeć na niego łagodzący wpływ.

- Nie wydaje mi się prawdopodobne, abym miała na niego jakikolwiek wpływ - odparła Leona,

- Przypuszczam, że jest pani za młoda. - Lady Bowden mówiła jakby do siebie. - Myślałam, że po stracie córki Elspeth nigdy się już nie uśmiechnie.

- Jak to się stało, że umarła? - zapytała Leona.

- Nigdy nie była silnego zdrowia - powiedziała lady Bowden. - Myślę, że zanadto się przemęczała. Miała zaledwie piętnaście lat. Uwielbiała ojca. Polowali razem, jeździli konno. Starła się być mu towarzyszem, jakiego zawsze pragnął. Tego roku była ciężka zima. Sforsowała się zamiast leżeć w łóżku. Przeziębienie rozwinęło się w zapalenie płuc. Nie dało się jej uratować.

- Jak mi przykro! - zawołała Leona. - Rozumiem, co musiał czuć książę.

- Tak, to było najgorsze - powiedziała lady Bowden - zwłaszcza, że jego syn... - nie dokończyła, gdyż podeszła do nich właśnie siostra księcia.

- Zagra pani w karty, lady Bowden? Jego wysokość uwielbia partyjkę wista przed spoczynkiem.

- Z największą przyjemnością - odparła lady Bowden.

Odsunawszy się od Leony podeszła do stolika, przy którym grywano w karty. Otworzyły się drzwi i weszli panowie, aby dotrzymać damom towarzystwa.

„Cóż takiego chciała powiedzieć?,” zastanawiała się Leona. Złościło ją, że im przerwano i nie dowiedziała się niczego o Euanie. Nie miała nadziei na dalszą rozmowę, jako że lady Bowden zajęta była grą, a pozostałe osoby skupiły się przy kominku.

- Zdumiewające, jak zimne w tych stronach bywają wieczory - ktoś zauważył. - W dzień na wrzosowiskach tak przygrzewało, że chodziłem bez płaszcza.

- Przypuszczam, że chcesz w ten sposób usprawiedliwić dwa chybione strzały! - parsknął śmiechem inny gość.

Wszyscy zaczęli rozmawiać o polowaniu i Leona nie zdołała dowiedzieć się niczego więcej o tajemniczym dziedzicu księstwa.

Rozdział 4

Leona postanowiła, że musi koniecznie przedostać się w jakiś sposób do posiadłości lorda Strathcaina i zobaczyć się z nim, ale mijał dzień za dniem i rozumiała, iż nie będzie łatwo tego dokonać. Przede wszystkim, czy to przez przypadek, czy z rozmysłem, nigdy nie wypuszczano jej z zamku samej. Książę, który, jak się wydawało, starał się najusilniej, aby przyjemnie spędzała czas, zabierał ją na konne przejażdżki. Czasami zastępowali go inni goście zamku. Pierwsi myśliwi wyjechali i zjawili się następni, co wieczór odbywały się wystawne kolacje, a do obiadu zasiadało dziesięć lub więcej osób.

Leona odnosiła wrażenie, że starano się ją zabawiać jak dzień długi i okazałaby się straszliwie niewdzięczna, gdyby nie wzruszyła jej serdeczność, jakiej młodej dziewczynie nie szczędzono na każdym kroku.

Z Edynburga przysłano kolejne suknie, a wraz z nimi ciepłe, podbite futrem okrycia na zbliżające się chłody oraz aksamitne żakiety, na które wciąż jeszcze było za ciepło, nawet w powozie. Czuła, że książę obserwuje ją uważnie, sprawdzając, jak reaguje na jego troskę. I jakkolwiek interesowało ją nowe niezwykle życie, w jakim przyszło jej uczestniczyć, dręczyła się wciąż przypuszczeniami, że lord Strathcain musi uważać ją za osobę nieuprzejmą i niewdzięczną. Rozważała najrozmaitsze sposoby, aby wysłać do niego list. Pomyślała, że mogłaby podczas przejażdżki poprosić, aby zatrzymali się na poczcie. Obawiała się jednak pytań, które wprawiłyby ją z pewnością w zakłopotanie, musiałaby bowiem wyznać, że wie o spaleniu jej pierwszego listu. Książę, choć miły i nienagannie uprzejmy, nadal wzbudzał w niej strach. Wiedziała, że potrafi, jeśli to leżało w jego interesie, postępować z całkowitą bezwzględnością. Nie wątpiła, że bali się go wszyscy, z którymi miał do czynienia.

Służba spełniała wszelkie polecenia bez szemrania, a służalczość miejscowych notabli, takich jak na przykład pastor, budziła w niej zażenowanie.

Zastanawiała się bezustannie, jak potoczyły się losy wysiedlonych rodzin, ale nie miała kogo o to zapytać. Nie mogła wypytywać służby, chociaż nie sądziła, aby kto inny miał pojęcie o tym, co się stało i jakie były następstwa eksmisji. Przeglądała gazety na wypadek, gdyby w „The Times” pojawiło się więcej artykułów na temat wydarzeń w Ross. Po rewelacjach pana Delane powstało Towarzystwo dla Ochrony Biednych, ale jak zorientowała się Leona, jego żywot nie trwał długo, a z zebranej gotówki bardzo niewiele trafiło w ręce ludzi z Glencatoie. Dowiedziała się także, że odbyły się następne wysiedlenia w Glenelg i w Sollas na ziemiach lorda Macdonalda na North Uist. Dokonywano ich także w Strathaid na wyspie Skye. Nie rozpisywano się o szczegółach, ale Leona, która widziała eksmisję w posiadłościach księcia, zdawała sobie sprawę z poniżenia i cierpień wieśniaków.

„Muszę pomówić o tym z lordem Strathcairem”, powtarzała sobie dziesiątki razy.

Sposobność nadeszła zupełnie nieoczekiwanie. Sąsiad zaprosił księcia na polowanie. Oznaczało to, że książę wyjedzie z zamku bardzo wczesnym rankiem, a wróci późnym wieczorem. To była okazja, której wyglądała od dawna.

Gdy zjawiała się pani McKenzie, Leona stała właśnie przy oknie sypialni. Jeśliby lało jak z cebra, polowanie odwołano by zapewne albo też książę zostałby w zaniku w obawie o swoje zdrowie. Jednakże zapowiadał się piękny wrześniowy dzień. Niebo było czyste, a słońce grzało coraz mocniej. Drzewa i krzewy wokół zamku przybierały powoli barwy jesieni, a wrzosa rozkwitały.

„Wkrótce nadejdzie zima - myślała Leona - wtedy dopiero będę uwięziona bez żadnej możliwości ucieczki!” Postanowiła

więc, że bez względu na konsekwencje wyrwie się choćby na parę godzin spod kurateli księcia. Zjadła śniadanie, nim ktokolwiek z gości zszedł na dół. Poprosiła, aby podstawiono konia pod drzwi frontowe. Wiedziała, że nie obejdzie się bez towarzystwa stajennego. Oświadczenie, że pragnie jechać sama, wywołałoby zapewne komentarze, a może i sprzeciw majordomusa.

W eleganckim kostiumie do konnej jazdy nadesłanym z Edynburga, w kapeluszu z woalką, rzucając ostatni raz okiem w lustro, pomyślała, że chciałaby, aby lord Strathcairn zobaczył ją właśnie taką. Zapamiętał ją w skromnym stroju podróżnym, który sama uszyła. Brakowało jej wówczas wyrafinowanej elegancji, jaką edynburski krawiec nadawał wychodzącym spod jego igły kreacjom.

"Jeśli zauważył moją urodę wtenczas, co powie teraz?", zastanawiała się. Nie mogła opanować podniecenia od chwili, kiedy się obudziła. Schodząc kamiennymi schodami na dół, do osiodłanego konia, czuła się tak, jakby całe jej jestestwo ocknęło się ze snu nagle i gwałtownie. Gdy już ruszyła ze stajennym jadącym w pewnej odległości za nią, zaczęła się zastanawiać, czy aby lord Strathcairn nie wyjechał z zamku i czy jej misternie ułożony plan nie zawiedzie. Przypomniała sobie jednak, jak lord mówił, że nie wyjeżdża nigdzie, aby zawsze móc bronić i otaczać opieką swój klan. Nie należał do tego typu szkockich wielmożów, których by pociągały rozrywki południa.

„Mama podziwiałaby go”, pomyślała Leona. Książę także mieszkał pośród swego ludu, ale o niego nie dbał, i to ją bolało. „Troszczy się tylko o pieniądze - nie o istoty ludzkie!” Myślała o owcach pasących się na wrzosowiskach, wielkich stadach bielejących na tle fioletowej łąki. Nienawidziła wszystkiego, co się z nimi wiązało.

Ponieważ jej myśli krążyły przede wszystkim wokół lorda Strathcaina, spięła konia ostrogą do szybszego biegu. Opuściwszy podjazd do wrót zamku, ruszyła na południe ku wzgórzom, które graniczyło z dobrami Strathcainów. Wjeżdżała po zboczu powoli ze względu na nierówności terenu i królicze jamy, w które koń mógł stąpnąć i nadwerężyć sobie pęcinę. Stajenny dogonił ją przed szczytem.

- Przepraszam panienkę - powiedział ze szkockim akcentem - ale jesteśmy blisko granicy ze Strathcainami, a nie mamy pozwolenia tam jeździć.

- Wydaje mi się, że na szczycie jest kopiec - odparła Leona. - Chcę go zobaczyć.

- Zgadza się. Jest kopiec - potwierdził stajenny. Dokonawszy wysiłku, aby ją powstrzymać, nie mógł już nic wymyślić i pozostał w tyle. Leona jechała najszybciej jak się dało, cały czas pod górę, dopóki zamek Ardness nie znalazł się daleko za nią. W świetle słońca wyglądał groźnie, jak twierdza nie do zdobycia. W dolinie panował mrok. Leonie, tak jak wtedy, gdy jechała do zamku po raz pierwszy, wydawało się, że w tym mroku kryje się coś złowieszczonego.

„Na sam widok dostaję gęsiej skórki! - - powiedziała do siebie i roześmiała się. - Chyba puściłam wodze swej wyobraźni!”

Swobodny pęd na otwartej przestrzeni wrzosowisk i słodka woń kwiatów kazały jej zapomnieć o lękach, o tym, jak budzą ją w środku nocy, w zamku Ardness, jak nasłuchiwała nie wiedzieć czego, jak przerażały ją cienie tańczące na ścianach.

Ujrzała kopiec, wielki stos ułożony z szarych kamieni, i serce jej zabiło. Za kilka chwil znajdzie się we włościach lorda Strathcaina. Podjechała do kopca i wstrzymała konia. Na południu rozciągało się jezioro, dalej widniał zamek Cairn. Tęskniła za nim, odkąd zmuszona była porzucić to piękne,

spokojne schronienie. Światła na wzgórzach okalających jezioro i jego nieruchoma woda oczarowały ją ponownie swą niezrównaną urodą.

Zamek w oddali roztaczał aureę niezwykłości, jakby przeniesiono go z bajki, którą znała z dzieciństwa. Jej koń, po długiej wspinaczce, stał spokojnie. Leona napawała się krajobrazem myśląc o biblijnej Ziemi Obiecanej. Tak często we śnie i na jawie marzyła, żeby znowu ujrzeć tę krainę, że prawie bała się, iż kiedy marzenie się ziści, straci ono w jej oczach magiczny urok. Stało się jednak inaczej. Jezioro i zamek nadal wydawały się jak zaczarowane.

Służący za jej plecami kręcił się niespokojnie. Bał się reprimendy za to, że przywiódł ją do samej granicy. Nie poruszyła się. Sądziła, że byłoby śmieszne z jej strony, gdyby oczekiwała, że lord Strathcairn po tak długim czasie spodziewa się jej przybycia. A jednak, z ufnością dziecka, wierzyła, że teraz właśnie go spotka. „Czy mam dość odwagi, aby zjechać i poszukać go?“, zastanawiała się. Przeczynała, że księżę nie byłby z tego zadowolony. Jednakże, przekonywała samą siebie, czy i tak nie rozgniewa się, że dotarła aż tutaj. „Jak nie pałką, go to kijem“, powiedziała sobie uznawszy, że to bardzo trafne przysłowie. Ruszyła w stronę zamku Cairn.

- Panienko, panienko! - zawołał zdenerwowany stajenny - przejeżdżamy granicę! To ziemie lorda Strathcairna, nie powinniśmy tam jechać!

- Zostałam zaproszona - odparła Leona nie zatrzymując się.

Stajenny nadal protestował cichym głosem. Był bardzo poruszony. Po około dwudziestu minutach, w miarę, jak zbliżali się do zamku, widzieli coraz więcej szczegółów budowli - wieżyczki i chorągiew powiewającą nad szarym dachem, Leona dostrzegła już chatki gnieźdzące się na brzegu jeziora. Z radością stwierdziła, że na wrzosowiskach

jego lordowskiej mości nie pasły się owce. Konie spłoszyły tylko niewielkie stada pardw. Ptaki, ulatując na bezpieczną odległość, skrzeczały z oburzeniem.

Wtedy właśnie, w oddali, Leona zobaczyła mężczyznę na koniu i poczuła na twarzy gorący rumieniec. Nie była pewna, czy to rzeczywiście lord Strathcairn. Wrzosowiska rozciągały się na nierównym pofałdowanym terenie i jeździec zniknął jej co chwila z oczu. Wkrótce przekonała się, że wzrok jej nie mylił. To był Strathcairn. Zbliżał się w jej stronę!

Oboje jechali szybko. Leona smagnęła konia szpicrutą spiesząc na spotkanie mężczyzny, za którym tęskniła. Nie przejmowała się własnym bezpieczeństwem. Stajenny ciągle mamrotał coś pod nosem. Widocznie bał się, że lord Strathcairn zbeszta ich za wkroczenie w granice jego włości. Kiedy jednak znaleźli się wreszcie blisko siebie, jego lordowska mość nie ukrywał radości.

- Prawie już straciłem nadzieję - powiedział podjeżdżając do Leony i wyciągając rękę. Wsunęła palce w jego dłoń. Jego uścisk był prawie bolesny.

- Oczekiwał mnie pan? - zapytała, z trudem dobywając słowa.

- Wyglądałem pani codziennie, odkąd pani odjechała - odrzekł. - Prawdę mówiąc, jeden z moich ludzi śledził was przez lornetkę od momentu przekroczenia granicy.

Leona nie zdziwiła się temu. Ogarnęła ją szalona radość, gdy okazało się, że przeczucia jej nie zawiodły.

- Nie mogłam przybyć wcześniej.

- Czy chciałaś? - w jego głosie brzmiał taki niepokój, że onieśmielona, bała się spojrzeć mu w oczy.

- Pisałam do... ciebie - wyznała - ale list nie został wysłany...

Ściągnął wargi, potem odezwał się znowu:

- Ale teraz tu jesteś.

- Księżę poluje u sąsiada.
- Przyjedziesz do zamku?
- Mogę tu zostać aż do późnego popołudnia.

Nie było sensu ukrywać, że chciała go zobaczyć. Ponieważ po powrocie do Ardness i tak czekały ją nieprzyjemności, postanowiła jak najczęściej skorzystać z wyprawy.

- Wiesz, jak mile jesteś tu widziana - powiedział lord Strathcairn.

Ciepły ton jego głosu sprawił, że Leona odwróciła głowę i uśmiechnęła się. Długo patrzyli sobie w oczy.

- Spieszmy się - powiedział Strathcairn. - Mamy sobie tyle do powiedzenia.

Leona rozumiała, że nie chciał, aby ich podsłuchiwano. Jechali zatem w milczeniu, stajenny księcia, zatopiony w ponurych myślach, przestraszony perspektywą kary, jaka mogła go spotkać, podążał z tyłu za nimi.

Dotarli do zamku i zanim służba zdążyła podbiec, aby pomóc Leonie zsiąść z konia, lord już był przy niej. Uniósł ją lekko. Poczula dreszcz podniecenia, gdy ich ręce dotknęły się. Pragnęła, aby tak, jak poprzednio, wniósł ją do zaniku i po schodach na górę. Ale teraz szli obok siebie aż do gabinetu lorda, z którego roztaczał się widok na jezioro. Leona wyjrzała przez okno.

- Jest piękniejsze, niż mi się wydawało - powiedziała.
- Ty również - odparł cicho Strathcairn.
- Czy naprawdę tak uważasz? - zapytała Leona.
- Naprawdę - powtórzył z uśmiechem.
- Cieszę się. Chciałam, żebyś zobaczył mnie w nowym stroju.

Lord Strathcairn przyjrzał się modnemu kostiumowi Leony.

- Czy jest nowy? - zapytał. - Masz taką śliczną buzię, że na nic innego nie zwraca się uwagi.

Zadrżała i odwróciła się w stronę jeziora.

- Masz więc nowe stroje - mówił lord Strathcairn powoli ważąc każde słowo. - Czy to prezent?

- Tak. Jego wysokość podarował mi je.

Żałowała, że rozmowa zeszła na ten temat, ale zawsze, gdy wkładała nową suknię, pragnęła, aby mógł ją w niej podziwiać.

Lord Strathcairn przeszedł na drugą stronę pokoju.

- Czy jesteś szczęśliwa w zamku Ardness?

- Powinnam czuć się szczęśliwa. Książę jest niezwykle dobry dla mnie.

- Nie o to cię pytałem.

- Wiem - odparła - ale byłabym niewdzięczna narzekając, podczas gdy jego wysokość obsypuje ranie prezentami i mam wszystko, czego potrzeba młodej dziewczynie.

- Więc o co chodzi?

Leona zawahała się przez moment, a potem, nie panując nad emocjami, powiedziała:

- Kiedy jechałam stąd do Ardness, widziałam po drodze, jak wysiedlano wieśniaków księcia!

Nie śmiała na niego spojrzeć, obawiając się, że zobaczy gniew na jego twarzy.

- Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie? - zapytał bezbarwnym głosem.

- A jak myślisz, czy mogę być obojętna, jeśli dzieje się coś tak strasznego, niegodziwego, tak nieludzko okrutnego, że chce mi się płakać, kiedy o tym mówię?

W jej głosie brzmiała pasja. Wargi drżały.

- Rozmawiałaś o tym z księciem?

- Próbowałam - odpowiedziała - przysięgam, próbowałam, ale księżę nie chciał słuchać i nie miałam nawet kogo zapytać o dalszy los wysiedlonych.

Lord Strathcairn podszedł bliżej.

- Przykro mi, że byłaś świadkiem podobnych okropieństw. Teraz pewnie rozumiesz, dlaczego księżę i ja jesteśmy poróżnieni.

- Masz słuszość! Oczywiście, że masz słuszość! - rzekła Leona - ale co można zrobić?

- Nic! - odparł.

- Staralem się pomóc wielu McArdom, ale nie poświęcę dobrobytu własnych wieśniaków dopuszczając do przeludnienia swoich ziem.

- Tak, rozumiem - zgodziła się Leona z westchnieniem. - Ale ci ludzie! Nieszczęśni, skrzywdzeni ludzie Słyszę ciągle ich krzyki. A jedno dziecko omal nie spłonęło żywcem, gdy podpalono chatę!

- To nie do zniesienia! - powiedział lord Strathcairn chrapliwym głosem. - Tak jest w całej Szkocji, - Pazerność właścicieli ziemskich, landlordów, i okrucieństwo zarządców skazały górali na męczarnie i zniszczyły duszę naszego ludu.

- Wiedziałam, że tak to odczuwasz! - krzyknęła Leona. - Moja matka myślała tak samo! Czy jesteś w stanie zrobić coś w tej sprawie?

- Nic - odparł. - Próbowałem na wszelkie możliwe sposoby. Spotykałem się z landlordami. Odbywaliśmy zebrania w Edynburgu. - Westchnął i mówił dalej. - Tysiące Szkotów wyjechało w obce kraje i rozproszyło się po całym świecie. Tylko w 1831 r. opuściło Szkocję pięćdziesiąt osiem tysięcy ludzi. - W jego głosie była gorycz. - Niewiele pozostało ziemi, której nie obrócono by w pastwiska dla owiec.

Leona nie była w stanie wyrzec słowa. W głębi duszy od początku wierzyła, że lord Strathcairn, niczym szlachetny rycerz, zdoła uchronić wieśniaków przed wysiedleniami. Jakby zgadując jej myśli, podał jej kieliszek sherry mówiąc:

- Czas ucieka, przejdźmy zatem do rzeczy przyjemnych, porozmawiajmy o tobie.

- Ale ja chcę rozmawiać o tobie - sprzeciwiła się Leona. - Ciekawa jestem, jakie życie prowadzisz tu, w swoich dobrach. Co zamierzasz, jeśli chodzi o wieśniaków znad jeziora...

- Czy to cię naprawdę interesuje? - zapytał Strathcairn.

- Tak, naprawdę - potwierdziła. - Chcę poznać bolączki szkockiego ludu. Nienawidzę poczucia odosobnienia i świadomości, że do niego nie należę, mimo że mieszkam w Szkocji.

- Czy tak się właśnie czujesz w zamku Ardness?

- Roi się tam od ludzi - odpowiedziała Leona. - Ale to są goście. Szukają rozrywki. Problemy Szkotów są im obce i nic ich nie obchodzi.

- A nie chcesz stać się taka jak oni?

- Może byłoby mi wtedy łatwiej.

Zapadła cisza. Leona odniosła wrażenie, że Strathcairn przygląda jej się badawczo, rozważając coś w duszy.

- Postanowiłaś zamieszkać w zamku Ardness? - zapytał.

- Nie mam wyboru - odparła. - Jestem biedna, nie mam dokąd pójść, a księciu bardzo zależy na tym, abym została. - Lord Strathcairn milczał, mówiła więc dalej: - Pragnęłabym tylko, żeby zamek Ardness bardziej przypominał mi ten, w którym teraz jestem.

- Na czym polega różnica? - zapytał Strathcairn. - Pomijając, rzecz jasna, architekturę?

- Różnica polega na atmosferze - odrzekła Leona. - Pewnie uznasz, że to głupie z mojej strony, ale czuję się tak, jakbym była więźniem.

Wydawało jej się, że się przeraził.

- A dlaczego to? - zapytał zmienionym tonem.

- Sądzę, że to wyobraźnia - odparła Leona. - A może duchy przeszłości ciągle nawiedzają ogromne komnaty, długie korytarze i, oczywiście, wieżę! Boję się, choć wmawiam sobie, że jest inaczej.

- Jestem pewien, że nie należysz do bojaźliwych.

- Nie pamiętam, żebym się przedtem czegoś lękała. Zamek wydaje mi się pogrążony w mroku i pełen tajemnic. Z jakiegoś powodu, chciałabym sama wiedzieć z jakiego, ciągle się boję.

Chcąc skierować rozmowę na inne tory poprosiła szybko:

- Opowiedz mi o synu księcia.

- O Euanie McArdu? - zapytał lord Strathcairn. - Nie ma go w zamku?

- Nie, nie sądzę - odparła Leona. - Ale wszyscy są. tacy tajemniczy, jeśli chodzi o niego. Usłyszałam przypadkiem, jak siostra księcia ostrzegała pewną damę, aby nie wspominała o nim przy jego wysokości.

- Sądzę, że jest w szpitalu w Edynburgu albo w Londynie - powiedział Strathcairn.

- Dlaczego?

- Nikt właściwie tego nie wie - odpowiedział. - Był chorowitym dzieckiem. Słyszałem, że książe zabierał go do różnych specjalistów w Europie w nadziei znalezienia lekarstwa.

- Lekarstwa na co?

- Nie mam pojęcia. W gruncie rzeczy nie sądzę, aby ktokolwiek wiedział. - Przerwał na chwilę, po czym mówił dalej: - Widziałem Elspeth, córkę księcia, wiele razy. Była bardzo ładną dziewczyną, podobną do księżnej, ale nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek spotkał markiza, ja czy też ktoś spośród moich znajomych.

- Jakie to dziwne! - wykrzyknęła Leona.

- Snuto, naturalnie, najrozmaitsze domysły, co mu właściwie dolega - powiedział Strathcairn. - Uważa się na ogół, że może mieć uszkodzony kręgosłup.

„To pewnie dlatego - pomyślała Leona - książę szukał porady specjalistów.”

- Książę musi być tym ogromnie zmartwiony - powiedziała na głos.

- Oczywiście - zgodził się Strathcairn. - Zawsze szczylił się niepomernie swoją rodziną.

- Tak, istotnie - uśmiechnęła się Leona. - Pokazał mi drzewo genealogiczne. Opowiadał, że tytuł książęcy zawsze przechodzi z ojca na syna i kiedy on sam umrze, jego syn odziedziczy wszystko.

- Wygląda na to, że zdrowie młodego Euana polepsza się.

- Przypuszczam - powiedziała Leona - że jego wysokość chce, abym zajęła miejsce jego córki. Lady Bowden mówiła, że był w głębokiej rozpacz, gdy umarła.

- Jeśli próbujesz wzbudzić we mnie współczucie dla księcia - oświadczył lord Strathcairn - wiedz, że ci się to nie uda. Uważam, że jest uparty, zawzięty i bezwzględny aż do okrucieństwa! W gruncie rzeczy nie znoszę go tak samo jak on mnie!

Leona westchnęła głęboko.

- Obawiam się, że bardzo się rozgniewa z powodu mego przyjazdu tutaj. Przybyłam, żeby... zobaczyć się z tobą,

- Mówiłaś, że list, który napisałaś, nie został wysłany. Dlaczego?

Leona zawahała się, potem jednak postanowiła powiedzieć prawdę.

- Książę zniszczył go. Widziałam, jak wrzucił go w ogień, nie wiedząc, że obserwuję go ze schodów.

Lord Strathcairn zerwał się na równe nogi.

- To niedopuszczalne! - zawołał gniewnie. - Mogłem się jednak tego spodziewać. Gdybyś zamieszkała gdziekolwiek w sąsiedztwie. Gdziekolwiek, byle nie w Ardness!

- Niestety, tam właśnie przyszło mi zamieszkać - powiedziała Leona ledwie słyszalnym szeptem.

- A teraz, cudem, znalazłaś się tutaj. Postąpiłaś niezwykle odważnie i zapewniam cię, że ogromnie się z tego cieszę i jestem ci za to wdzięczny.

- To ja jestem winna ci wdzięczność. Przyszedłeś mi z pomocą po wypadku. Byłam taka szczęśliwa, gdy „odkryłam” zamek Cairn.

- Miałem nadzieję, że tak jest - i że myślałaś o mnie - rzekł lord Strathcairn. - Obawiałem się jednak..

- Obawiałeś się? - zapytała Leona.

- ... ze całkiem o mnie zapomniałaś!

- Nigdy nie mogłabym o tobie zapomnieć! Spojrzeli sobie w oczy. Działo się między nimi coś niezwykłego i cudownego. Postąpił krok ku niej. Czują, że za chwilę padną ważne słowa. I wtedy właśnie lokaj, stanąwszy w drzwiach, oznajmił:

- Podano lunch, wasza lordowska mość!

Lord Strathcairn rzucił okiem na zegar stojący na kominku.

- Siadamy do stołu dość wcześnie - powiedział. - Sadzę jednak, że zostanie nam jeszcze sporo czasu do twego wyjazdu.

- Z największą chęcią zjem z tobą lunch - odparła Leona. Weszła do jadalni, którą tak dobrze pamiętała. Robiła na niej dużo przyjemniejsze wrażenie niż wielkopańskie komnaty zamku Ardness. Obecność służby nie przeszkadzała im rozmawiać swobodnie, a wiele mieli sobie do powiedzenia. Nie pamiętała później, o czym rozmawiali. Zachowała we wspomnieniu wspaniały smak potraw i niezwykły nastrój

cudowności, mający w sobie coś z magii. Wszystko w zamku zdawało się jakby dotknięte różdżką czarodzieja. Z radością ucięła sobie po lunchu pogawędkę z panią McCray, ucieszyła się, że służba ją pamięta, a w jej uroczej sypialni nic się nie zmieniło. Pomyślała, że gdyby dane jej było spędzić kiedyś jeszcze noc w „komnacie ostów”, nie wsłuchiwałyby się w martwą ciszę nocy, nie leżałaby rozbudzona drżąc ze strachu przed byle cieniem.

- Czy co wieczór oglądasz tańce w „komnacie wodza”? - zapytała z ożywieniem.

- Nie codziennie - odparł z uśmiechem Strathcairn. - Zwykle wszyscy zbierają się raz w miesiącu, w sobotę, przyprowadzają całe rodziny włącznie z dziadkami i wtedy dopiero dają popis swojej zręczności!

- Jakże bym chciała to zobaczyć - wykrzyknęła Leona.

- A ja pragnąłbym pokazać ci to widowisko! - zawtórował jej lord Strathcairn.

Zeszli do ogrodu. Leona zauważyła, że jest w nim cieplej niż gdzie indziej dzięki gęstym krzewom i grubym murom. Kwiaty, nawet we wrześniu, mieniły się kolorami tęczy.

Lord Strathcairn zerwał paczek białej róży, który Leona wpięła w dekolt. Uśmiechnęła się, wspominając białe róże w ogrodzie swego rodzinnego domu.

- Wybrałem ją, ponieważ przypomina mi ciebie - powiedział lord.

- Biała róża?

- Biała, czysta, niezwykle piękna i ciągle nie rozkwitła, jak paczek róży!

- Sądzisz, że jestem właśnie taka?

- Wywierasz na mnie wrażenie osoby nie rozbudzonej do życia - odrzekł. - Gdy stajesz wobec prawdziwego życia, zdarzeń takich, jak wysiedlenia, nie możesz sobie z tym poradzić. Rzeczywistość rani cię, ponieważ świat jest dla

ciebie ciągle jeszcze cudownym miejscem. Można ci tylko zazdrościć!

- Chciałabym, aby był cudowny. Nic nie odpowiedział.

- Mówiłeś kiedyś, że człowieka spotyka w życiu wiele rozczarowań - odezwała się po chwili.

- Nie zawsze.

Dotarli na brzeg jeziora. W przejrzystej wodzie widać było piaszczyste dno. Małe rybki śmigały pojawiając się i znikając.

- Czy w jeziorze żyją nimfy wodne - zapytała Leona - a chochliki kopią sobie norki na wzgórzach?

- Oczywiście! - odparł lord Strathcairn, - Kiedy widzę mgłę unoszącą się nad wodą o poranku, myślę o tobie.

Odwróciła się, aby na niego spojrzeć. Przez chwilę trwali nieruchomo.

- Niczego tak nie pragnę, jak zatrzymać cię dłużej, ale sądzę, że powinniśmy już wracać - powiedział to wolno, jakby ciężko mu było podjąć decyzję. - Poza tym chcę coś jeszcze ci pokazać, zanim opuścisz moją posiadłość. Leonie wydawało się, że światło słońca nagle przygasło.

- Nie mogę się spóźnić - powiedziała automatycznie, ale w głębi serca marzyła, aby pozwolił jej zostać dłużej.

Jakież to ma teraz dla niej znaczenie, że książę się rozgniewa. Cóż liczyło się poza tym, że była w zamku Cairn w towarzystwie jego właściciela? Gdyby tak mogła tu zostać, jak przedtem. Brakło jej jednak śmiałości, aby dać wyraz swoim uczuciom. Wrócili do zamku, aby mogła włożyć kapelusz do konnej jazdy, rękawiczki i zabrać szpicrutę.

Konie stały u bramy, a przy nich nadąsany stajenny. Lord Strathcairn usadowił Leonę w siodle i poprawił lekko fałdy szerokiej spódnicy. Leona czuła, że jest bezpieczna, otoczona opieką, tak jak wówczas, gdy trzymał ją w swych ramionach. Jego delikatność, zaskakująca u mężczyzny, podnosiła jeszcze jego męskość w oczach dziewczyny.

Wskoczył na konia. Ruszyli. Stajenny jechał w pewnej odległości za nimi, tak że nie mógł dosłyszeć rozmowy.

- Czy tak jest rzeczywiście, że ktoś z twoich ludzi stale czuwa na granicy włości? - zapytała Leona.

- Poleciałem, aby ktoś zawsze pełnił tam służbę - odparł lord Strathcairn. - Miałem wrażenie, że zaczynali już tracić ducha i uważać wartowanie za stratę czasu. Teraz wzmogą czujność w dwójnasób.

- Tak więc, jeśli uda mi się ponownie wyrwać stamtąd. .. - zaczęła Leona.

- Będę czekał - powiedział Strathcairn. - Myślałem jednak... - przerwał.

- O czym myślałeś?

- ... że to ja powinienem udać się do zamku Ardness i złożyć ci wizytę.

Leona milczała, po chwili więc podjął na nowo:

- Jesteś bardzo młoda, a księżę występuje obecnie w roli twojego opiekuna. Obawiałbym się uczynić cokolwiek, co mogłoby zaszkodzić ci w jakiś sposób albo wpłynąć niekorzystnie na twoją reputację.

- Jakże mógłbyś to uczynić? - zdumiała się Leona. Lord Strathcairn uśmiechnął się.

- Sądzę, że wielu ludzi, nie wyłączając księcia, uznałoby twoje postępowanie za uwłaczające konwenansom. To mianowicie, że zatrzymałaś się w moim zamku, i to, że spędziłaś dzisiejszy dzień ze mną.

- Tak... rzeczywiście - stropiła się Leona. - Nie myślałam o tym,

- Dlatego też zawitam do zamku Ardness z całą pompą i szacunkiem dla ceremonii - powiedział lord Strathcairn. - Nie widzę powodu, bez względu na nieporozumienia między jego wysokością a mną, dla którego nie mielibyśmy, może

troszeczkę późno, zawrzeć naszej znajomości w sposób bardziej konwencjonalny.

Uśmiechnął się i Leonę znów opanowała radość.

- Tak jak powiedziałeś - rzekła - jest na to trochę za późno. Byłam u ciebie, spędziłam z tobą cały dzień i...

- Pragnąłbym, abyś dokończyła to zdanie - powiedział lord Strathcairn z naciskiem.

- Chciałam powiedzieć, że byłam bardzo... bardzo szczęśliwa - odparła Leona.

- Ja także - rzekł Strathcairn. - Szczęśliwszy, niż mógłbym to wyrazić słowami, szczęśliwszy, niż wolno mi to w tej chwili powiedzieć.

Ukryty sens tych słów i wyraz jego oczu sprawiły, że zadrżała. Jechali naprzód w milczeniu. Widzieli teraz wyraźnie, na tle nieba, kamienne mury zamku Cairn. Dręczyła ją świadomość, że dalej za horyzontem wznosi się zamek Ardness. Niczym potwór wyciąga macki, aby pochwycić ją i wciągnąć w swoje wnętrzości. W miejscu gdzie grunt obniżał się lekko, lord Strathcairn zatrzymał konia.

- Czy nie miałabyś ochoty trochę pospacerować? Chcę ci coś pokazać - zapytał.

- Oczywiście, chętnie - odrzekła Leona.

Przywołał stajennego i kazał mu zająć się końmi, Potem zсадził Leonę z siodła i, wzięwszy ją za rękę jak dziecko, poprowadził' przez wrzosa. Okrążyli niewielkie wzgórze. Z jego zbocza tryskał wodospad, który srebrzystym strumieniem wpadał do małej wijącej się rzeczki.

- Jak tu ładnie! - wykrzyknęła.

- Tak jest od wieków - powiedział lord Strathcairn. - To miejsce kryje pewien sekret, który zamierzam ci wyjawić.

- Jakie to podniecające! - zawołała Leona, ale nie mogła odgadnąć, o jaką tajemnicę mu chodziło.

Lord Strathcairn szedł pierwszy trzymając ją za rękę. Doszli do samego brzegu strumienia. Gdy rozsunął wrzosa, Leona zobaczyła za wodospadem wąskie przejście. Było dostatecznie szerokie, aby dało się przejść nie mocząc ubrania. Woda spadała z szumem niczym srebrny welon. Oczy Leony przyzwyczyły się wkrótce do ciemności i wówczas dostrzegła obszerną jaskinię wrzynającą się w głąb skały.

- Jaskinia! - krzyknęła, jej głos zabrzmiał trochę niesamowicie.

- Tutaj szef klanu McCairnów i trzydziestu spośród jego ludzi ukrywało się po bitwie pod Culloden - wyjaśnił lord Strathcairn. - Anglicy szukając ich przewrócili niebo i ziemię, próbowali nawet spalić zamek, ale na nic wszelkie starania, Zniknęli bez śladu.

Leona weszła trochę dalej w głąb jaskini.

- Jak długo musieli tu siedzieć?

- Przez trzy miesiące! Ich żony i matki znalazły sposób, żeby dostarczyć im jedzenie, inaczej umarliby z głodu. Po odejściu Anglików wydostali się z jaskini cali i zdrowi!

- To idealna kryjówka! - wykrzyknęła Leona. - Jakże miło z twojej strony, że mi ją pokazałeś.

- Nawet w dzisiejszych czasach niewielu ludzi wie o jej istnieniu - powiedział lord Strathcairn. - Nie muszę cię chyba prosić, abyś nikomu o tyra nie wspominała.

- Wiesz, że nigdy nie nadużyłabym twego zaufania - odparła Leona.

- Jestem tego pewien.

Stał zwrócony tyłem do srebrzystej ściany wodospadu. Błada poświata padała na twarz dziewczyny.

- Teraz nie tylko mgła nad jeziorem będzie mi ciebie przypominać - rzekł głębokim głosem - ale także muzyka wodospadu...

Patrzyli na siebie jak urzeczeni. Leona wstrzymała oddech, po czym, nie myśląc, co robi, ruszyła bezwolna ku niemu. Objął ją i przyciągnął do siebie. Gdy instynktownie uniosła twarz, jego usta spoczęły na jej wargach. Leona nie całowała się nigdy przedtem. Uczucia, jakie teraz ją ogarnęły, były dla niej całkiem nowe i niespodziewane. Ogień przeniknął jej ciało, miała wrażenie, że ztraca swoją odrębność stapiając się z jego ciałem. Czuła, że pocałunkiem objął ją w posiadanie. To, co teraz przeżywała, należało do świata magii, jak jezioro i zamek. Było to cudowne i przejmujące ją na wskroś uczucie.

Szum wody, srebrzyste światło, niezwykła tajemnicza atmosfera jaskini nadawały niezwykły urok jego pocałunkom. Leonie zdawało się, że czas stanął w miejscu i że stanowiła teraz część bajecznej, pełnej cudów historii Szkocji. Lord Strathcairn uosabiał odwagę i męstwo bohaterów jej dzieciństwa. Całował ją Świat przestał istnieć. Byli sami. Ich serca i dusze łączyła wspólna tajemnica. Lord Strathcairn uniósł głowę.

- Kocham cię, skarbie najdroższy! Kocham cię od pierwszej chwili.

- Ja też cię kocham! - szepnęła Leona. - Czułam się taka bezpieczna, gdy mnie tuliłeś. Marzyłam, aby znów znaleźć się w twoich objęciach.

- Moja maleńka, nie powinienem był pozwolić ci odejść - powiedział lord Strathcairn. - Powinienem był zatrzymać cię przy sobie.

Ich usta znowu odnalazły się w mroku jaskini. Całował ją niecierpliwie, namiętnie, zaborczo. Drżała, jej ciało płonęło. „Należę do niego!”, myślała uszczęśliwiona. Pocałunki odebrały jej jasność myślenia. Zatraciła się w niebiańskiej ekstazie.

- Musisz iść, kochanie - powiedział niepewnie.

- Nie mogę cię opuścić - załkała Leona, Świadomość, że nie będzie jej już całować, przyprawiała ją o nieznośny ból. Pragnęła dotyku jego ust bardziej niż czegokolwiek dotąd.

- Musimy być rozsądni - rzekł lord Strathcairn. - Moim obowiązkiem jest opiekować się tobą i dopilnować, abyśmy nie popełnili głupstwa.

- Nie zapomnisz o mnie?

- Sądzisz, że to możliwe?

Przyciągnął ją do siebie całując policzki, dołeczek w bródce, zgrabny prosty nosek, usta,

- Chodź, mój skarbie - powiedział wreszcie.

- Chciałabym być z tobą zawsze.

- Chyba nie wątpisz, że ja także tego pragnę? - rzekł z ogniem w oczach. Oderwał się od niej z wysiłkiem. Wyszedł pierwszy, rozsuwając wrzosa, tak aby mogła wydostać się spod płaszcza wody nie umoczywszy pantofelka. Wrzos wrócił na swoje miejsce i nic nie wskazywało na to, że dalej prowadzi ścieżka. Słońce oślepiło ją. Nie odważyła się spojrzeć mu w oczy, mimo że niczego nie pragnęła bardziej. Marzyła o dotyku jego dłoni, lecz nie śmiała uczynić żadnego gestu.

Wracali w milczeniu. Dopiero gdy posadził ją w siodle, popatrzyła na niego i poczuła się tak, jakby znów ją pocałował. Wiedziała, że łączy ich miłość. Ale teraz nie byli już sami, stajenny mógł ich usłyszeć. Konie mknęły przez wrzosowisko w kierunku granicznego kopca. Leona myślała z rozpaczą, że zaledwie parę chwil dzieli ją od powrotu do ponurego zamku Ardness. Gdy dotarli do kopca, spojrziała w stronę doliny i wstrząsnął nią dreszcz.

- To nie potrwa długo, kochanie - obiecał lord Strathcairn cichym szeptem. - Jeśli będę ci wcześniej potrzebny, wystarczy, jeśli zjawisz się tutaj, przy kopcu.

- Przyjdę, jeśli to tylko będzie możliwe.

- A ja przyjdę do ciebie.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Leona z największym wysiłkiem powstrzymywała się od tego, aby nie skłonić głowy ku niemu podając usta do pocałunku.

Uniósł jej dłoń i nie bacząc na służącego, odsunawszy lekko rękawiczkę, ucałował drobne niebieskie żyłki nadgarstka. Zadrżała pod jego dotknięciem. Była szczęśliwa.

- Zawsze pamiętaj, że cię kocham - rzekł bardzo miękko. Potem, jakby rozstanie sprawiało mu ból, odwrócił się gwałtownie i pogalopował w stronę zamku. Leona śledziła go przez chwilę, a potem ruszyła w dół zbocza ku dolinie.

Rozdział 5

W miarę zbliżania się do zamku rosła jej obawa. Jednakże radość w jej sercu sprawiała, że cały świat zdawał się przepelniony weselem.

„Kocham go! Kocham go!”, powtarzała sobie w duchu.

Skierowała w nagłym uniesieniu wzrok ku niebu i dziękowała Bogu za to, że postawił lorda Strathcairna na drodze jej życia. Miłość i wspomnienie jego czułości dodawały jej odwagi, nadal jednak przejmował ją lęk na myśl o reakcji księcia. Dotarła do mostu. Zamek wznosił się ponad nią bardziej ponury i przerażający niż zwykle. Okna, niczym ludzkie oczy, zdawały się patrzeć na nią z potępieniem. Wiedziała, że tylko śmierć może położyć kres waśni między klanami, nie gasząc jednak nienawiści dziedziczonej przez następne pokolenia i równie gwałtownej i niepowstrzymanej, jak w momencie jej narodzin. Tutaj jednak chodziło nie tyle o waśń między klanami, co wrogość dzielącą dwóch mężczyzn. Mogła sobie wyobrazić, jak bardzo musiał gniewać księcia sprzeciw i dezaprobata wobec jego poczynań ze strony kogoś tak młodego i, w jego oczach, mało znaczącego jak lord Strathcairn. Porównując ich obu Leona wyobrażała sobie Strathcairna jako świetlistego anioła zemsty, natomiast księcia - jako olbrzyma ludożercę, którego należało zniszczyć. „Zamek potwora!”, przyszło jej do głowy, gdy zsiadała z konia przed wielkimi, obitymi żelazem drzwiami. W holu zastała czekającego na jej powrót majordoma. Zdawało jej się, że patrzy na nią z wyrzutem. „Nic służbie do tego, co robię”, pomyślała i weszła po schodach dumnie wyprostowana, trzymając wysoko głowę. Zdawała sobie sprawę, że w zamku wiedziano już zapewne o jej wyprawie poza granice włości, Ludzie księcia śledzili ją bez wątpienia, jak wraz ze stajennym wspinała się na wzgórze i zniknęła po drugiej stronie kopca. Plotka musiała roznieść się po zaniku lotem błyskawicy

docierając:, być może, także do wieśniaczek w pobliskiej wiosce rybackiej. Prędkość, z jaką rozprzestrzeniały się informacje, stawała się zrozumiała w świetle wydarzeń z przeszłości - na wezwanie wodza klany zbierały się niewiarygodnie szybko.

Matka opowiadała jej, jak to dwa tłące się kawałki drewna wiązano na krzyż za pomocą zbroczonego krwią kawałka płótna i przekazywano sobie w biegu z rak do rak.

„Takiego znaku użyto chyba po raz ostatni - mówiła pani Grenville - kiedy lord Glenorchy, syn erla z Breadal Bane, zbierał ludzi ojca w 1745 r. przeciwko jakobitom.

- Czy byli rozproszeni po rozległym terenie? - zapytała wtedy Leona.

- Krzyż przewędrował około trzydziestu mil wokół Loch Tay w ciągu jakichś trzech godzin - odparła pani Grenville - klan, który zwoływano za pomocą krzyża, hołdował wielu przesądom. Napotkanie po drodze uzbrojonego mężczyzny wróżyło na przykład, powodzenie i zwycięstwo.

- A złe wróżby?

- Niestety sprowadzał jeleń, lis, zając albo inne dzikie zwierzę, którego nie udało się upolować - odparła matka i zamyślona dodała: - Słyszałam, że jeśli zdarzyło się bosonogiej kobiecie przejść drogę przed maszerującymi członkami klanu, chwytano ją i ostrzem noża kaleczono czoło!"

„Dziwaczny obyczaj", pomyślała sobie teraz Leona. Zimny dreszcz przebiegł jej ciało na myśl o żalobnej wronie, którą napotkała tuż przed zamkiem. „Może w Szkocji nie uważa się wron za złowróźbne ptaki", pocieszała się. Gdy wspinała się po schodach na górę, żalowała, że nie spotkała dwóch wron, co oznaczałoby szczęście. Przywołała się do porządku. „Co za głupota! Cóż takiego księżę może mi uczynić? Wedle prawa nie jest moim opiekunem, a jako że

narodowość dziedziczą po ojcu, jestem Angielką!" Jednakże szkocka część jej natury sprawiała, że czuła się winna. Złamała nakazy wodza, który uznał się za jej opiekuna i, z jego punktu widzenia, zbratała się z wrogiem. „

Z niekłamaną ulgą, jak dziecko, które obawia się kary za psotę, przyjęła z ust księżęcej siostry wiadomość, że książe jeszcze nie wrócił.

- Martwiliśmy się o ciebie, kochanie - powiedziała siostra księcia. - Mój brat nie uprzedził mnie wczoraj wieczorem, że ty także wyjeżdżasz.

- To nieładnie z mojej strony i bardzo przepraszam - odparła Leona. - Sądziłam, że zdążę wrócić na lunch.

- Dobrze, że już jesteś - uśmiechnęła się siostra księcia. - Nie muszę zatem dzielić się z jego wysokością moimi obawami.

- Nie chciałabym, aby się niepokoił - odparła Leona.

Była jednak pewna, że ledwie książe przekroczy progi zamku, natychmiast dowie się o jej wyprawie. Udała się do swego pokoju i położyła, aby odpocząć przed kolacją. Sen nie przychodził. Jedyne, o czym mogła myśleć, to lord Strathcairn, jego oczy wpatrzone w nią i cudowna słodycz pocałunków, które na skrzydłach miłości unosiły ją w pozaziemską krainę szczęśliwości. „Miłość jest darem niebios", pomyślała. Żadna siła na świecie nie mogła jej zmusić, aby przestała go kochać, należeli do siebie tak, jakby połączył ich nierozzerwalny węzeł małżeński. „Zamieszkać w tym pięknym, szczęśliwym zamku - myślała Leona - będę napawać się widokiem jeziora za oknami. Zaopiekuję się ludem zamieszkującym jego brzegi wiedząc, że ich wódz nigdy ich nie zdradzi."

Wspomniała, jak to podczas lunchu w zamku Cairn, gdzie przebywała tak niedawno, lord Strathcairn powiedział:

- Leona to bardzo piękne imię. Nie spotkałem dotąd osoby, która by je nosiła.

Zarumieniwszy się lekko, odparła nieśmiało:

- Wybacz, że dopiero teraz o to pytam. Nie znam jeszcze twego imienia.

- Na imię mi Torquil - odrzekł. - To imię wywodzi się z pradawnych czasów. Wielu moich przodków o tym imieniu odznaczyło się męstwem w walce.

- Opowiedz mi o nich - poprosiła.

Popłynęła opowieść o bohaterskich czynach, honorowych pojedynkach, kiedy to przywódca reprezentował cały klan. Torquil opowiadał też starodawne legendy przypisujące mężom o tymże imieniu moc niemal nadprzyrodzoną. Leona słuchała z błyszczącymi oczami. Czowała, że imię stało się ciałem... jej lorda.

„Torquil!”, szepnęła teraz, leżąc na łożu w komnacie zamku Ardness, po czym głośno, jakby słowa, niczym ptaki zerwały się nagle z uwięzi, krzyknęła:

- Kocham cię! Och, jakże cię kocham!

Leonie zdało się, że wyznanie miłosne roznosi się echem po wrzosowisku i dociera do zamku Cairn z wonnym zapachem ziół. Była pewna, że i jego myśli są w tej chwili przy niej. "Miłość nadała mi szczególną moc - pomyślała - czas ani przestrzeń nie stanowią dla mnie przeszkody, gdy chcę połączyć się z ukochanym."

Zbyt szybko, jak uznała Leona, zjawiała się pani McKenzie i pokojówki. Przybyły, aby przygotować jej kąpiel. Oznaczało to, że zbliża się pora kolacji, Musiała stanąć twarzą w twarz z księciem i cieszyła się, że nie będą sami. Do wieczerzy zasiądzie także księżęca siostra, a może i inne osoby.

Gości przy stole nie było. Odjechali rano, gdy Leona ruszyła na swoją wyprawę. Wywnioskowała to dopiero z rozmowy przy kolacji. Zauważyła, że księżę nie zwracał się

do niej bezpośrednio, domyślała się jego gniewu. Nic jednak nie mówił i Leona jadła w milczeniu dania ze srebrnej herbowej zastawy. Nawet światła kandelabrow nie zdołały przepłoszyć cieni z kątów komnaty. Kobziarz wygrywał tego wieczoru same żałobne pieśni. „Może księżę rozgniewał się do tego stopnia, że każe mi opuścić zamek”, zastanawiała się Leona czując się coraz bardziej nieswojo. Gdyby tak uczynił, pojechałaby wprost do zamku Cairn i padłaby wprost w ramiona czekającego na nią Torquila. Na tę myśl serce jej zabiło żywiej z radości i poczuła się rażniej. Przekonywała samą siebie, że jako Macdonaldówna nie ma potrzeby obawiać się McArda, bez względu na to, jak groźne pozy by przybierał. Kiedy jednak księżę oznajmił, że pragnie z nią pomówić, a jego siostra udała się na spoczynek, Leona nie mogła powstrzymać drżenia rąk. Czuła wyraźne i nieprzyjemne pulsowanie w piersiach. Jej matka nazwała niegdyś to uczucie trzepotem skrzydeł motyla. Leonie jednak nie kojarzyło się ono z wesołymi, barwnymi mieszkańcami łąk.

Drzwi zamknęły się za siostrą księcia i jego wysokość podszedł powoli do kominka. Zatrzymał się odwrócony tyłem ku płonącym głowniom, ze wzrokiem utkwionym w dziewczynie. Nie prosił, aby usiadła. Fałdy jej krynoliny trzęsły się lekko, gdyż teraz drzenie przebiegało po całym jej ciele.

- Jak rozumiem, wyjechałaś dzisiaj poza granice moich ziem - zaczął z wolna.

- Tak... wasza wysokość.

- Nie powiadomiłaś mnie wczoraj o swoich planach.

- Zdecydowałam się... w ostatniej chwili, wasza wysokość.

- Chciałaś złożyć wizytę Strathcairnowi?

- Tak, wasza wysokość.

- Dlaczego?
- Pragnęłam wyrazić mu wdzięczność za pomoc, jaką okazał mi po wypadku a także, zobaczyć go.
- A dlaczegoż to, moja panno?
- Uważam go za swego... przyjaciela, wasza wysokość.
- Przyjaciela, którego, jak wiesz, nie mogę zaakceptować!
- Nie dotyczą mnie, wasza wysokość, właśnie i nieporozumienia, które wynikły, zanim przybyłam do Szkocji.
- Wiedziałaś jednak, że nie pochwalilibym tego?
- Nie mówiliśmy o tym... miałam jednak wrażenie, że wasza wysokość może nie być zadowolony.
- Przynajmniej jesteś szczerą.
- Staram się, wasza wysokość.

Leona żałowała, że nie poprosił, aby usiadła. Bała się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa. Książę panował nad swym głosem, mówił prawie beznamietnie, ale Leona wiedziała, że pała gniewem, i sama jego postać przerażała ją. Zdawał się wypełniać cały pokój. Gdy czekała na dalsze słowa, wydawało jej się, że książę musi słyszeć bicie jej serca.

- Słusznie sądzisz, że nie pochwalilibym przyjaźni, jak to nazywasz, ze Strathcainem - powiedział książę po chwili. - Nie zamierzam wyniszczać powodów, dla których nie uważam, by był odpowiednim towarzystwem dla kogoś, kto znajduje się pod moją opieką. Żądam jednak posłuszeństwa i stanowczo zakazuję ci widywania się z nim!

- Obawiam się, wasza wysokość, że... nie przystanę na to.

Leona starała się nadać swemu głosowi stanowcze brzmienie, ale nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to słabo i niepewnie.

- Dlaczegoż to?

- Ja... lubię lorda Strathcaina, wasza wysokość.

- Lubisz go?!

Książę powiedział to ostrym tonem, niemal krzyczał.

- Pewnie wyobrażasz sobie, żeś się w nim zakochała?
Leona nie odpowiedziała. Książę przerwał milczenie.

- Spodziewam się, że powiedział ci o swojej żonie?

- Swojej... żonie? - z trudem wyszeptała Leona.

- Tak, o swojej żonie! - odparł książę. - Ożenił się z aktorką teatralną, która z nim nie mieszka, nosi jednakże jego nazwisko.

Leona bała się, że zemdleje. Zacisnąwszy palce tak, że paznokcie wbiły się w jej delikatne dłonie, zapytała ledwie dosłyszalnym szeptem:

- Czy to prawda?

- Ależ naturalnie! - odrzekł książę. - Nie dziwię się wcale, że Strathcairn nie oświecił cię w tej materii, jako że sprawa ta stanowi niewątpliwą plamę na honorze jego rodziny.

Nie czekając na pozwolenie, Leona opadła na najbliższą stojącą kanapę. Miała wrażenie, że sufit wali się jej na głowę i za chwilę pochłonie ją ciemność. To nie mogła być prawda! Książę kłamie. Z drugiej strony, lord Strathcairn nie wspominał o małżeństwie. Powiedział, że ją kocha, wziął jej serce w posiadanie, ale nie prosił o jej rękę. Teraz zrozumiała. Rozumiała też, dlaczego twierdził, że musi dbać o jej reputację. Istotnie, czyż nie zasługiwała na potępienie? Przebywała sam na sam z żonatym mężczyzną, zakochała się w nim, całowała, oddała mu swą duszę, podczas gdy on należał do kogoś innego. Pod wpływem targających nią silnych emocji Leona zbladła straszliwie. Książę potrząsnął dzwonkiem. Gdy zjawił się majordomus polecił przynieść brandy. Podano je w mgnieniu oka w karafce z rzuńtego kryształu, na srebrnej tacy, na której stały także kryształowe kieliszki. Książę ruchem ręki rozkazał majordomowi oddalić się, a sam, napełniwszy jeden kieliszek do połowy, podał go Leonie.

- Nie, dziękuję - wyjąkała z trudem.

- Wypij to! - polecił. - Jesteś w szoku.

Brakło jej sił, aby się sprzeciwić, toteż posłusznie wychyliła kieliszek do dna. Poczowała palenie w gardle i wstrętny smak w ustach, ale wróciła jej jasność myślenia i ustało drżenie ciała. Książę odstawił pusty kieliszek na tacę.

- A teraz, Leono, porozmawiajmy.

Nie chciała tego. Jedyne, czego pragnęła, to uciec do swego pokoju i wypłakać w poduszkę żal i poczucie krzywdy. Książę był jednak silniejszy. Musiała podnieść oczy i spokojnie wysłuchać, co miał jej do powiedzenia.

- Zamierzałem z tym jeszcze poczekać - zaczął. - Pragnąłem, abyś zadomowiła się w zamku i przywykła do naszego stylu życia.

- Wasza wysokość jest bardzo dla mnie łaskaw - zdołała wyszeptać Leona.

Mówiła z trudem, czuła się tak, jakby przygniatał ją wielki kamień.

- Sądziłem - ciągnął książę - że byłaś z nami szczęśliwa. Wyglądasz teraz zupełnie inaczej niż w dniu swego przyjazdu.

- Wyraziłam waszej wysokości podziękowania... za suknie - mamrotała Leona - i perłowy naszyjnik...

- To tylko mała częśćka tego, co chciałbym ci ofiarować - powiedział książę - ponieważ jeszcze zanim zjawiałaś się tutaj, uznałem, że jesteś najodpowiedniejszą kandydatką na moją synową!

Leona nie wierzyła własnym uszom. Spojrzała pytająco.

- Zamierzam wydać cię za swego syna, markiza Ardn! - powtórzył książę.

- Ale dlaczego wybrałaś, książę, właśnie mnie?

- Ponieważ darzyłem głębokim podziwem twoją matkę. Pochodzisz z dobrego szkockiego rodu. Jesteś zdrowa i silna. Wierzę, że dasz memu synowi dziedzica i moja rodzina w prostej linii nie wygaśnie.

Leona splotła ręce.

- Ależ ja nie znam markiza, wasza wysokość.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Zanim go poznasz, chciałbym, abyś zrozumiała, co dokładnie oznaczać będzie dla ciebie to małżeństwo. - Przerwał na moment po czym kontynuował. - Będiesz mieszkała tutaj, ale jest także siedziba w Londynie, dom w Edynburgu, wspanialszy niż pałac Holyrood, oraz wiele zamków i włości w różnych częściach Szkocji i na wyspach. Wyjedziesz za granicę, Leono, poznasz świat. Nie sądzę, abyś kiedykolwiek w przeszłości miała okazję podróżować. Zwiedzisz Francję i Włochy, ujrzysz cuda Grecji. Jestem gotów wysłać cię w każde miejsce, które zechcesz zobaczyć.

Oczy Leony zaokrągliły się ze zdumienia.

- Pański syn... Czy pytało go o zdanie w tej sprawie?

- Euan ożeni się z tobą, bo ja mu każę - oświadczył książę. - Ale chcę być z tobą szczerą, nie będziesz musiała zbyt często przejmować się swoim mężem, gdy już urodzisz mu następcę.

- Ale dlaczego? Nie rozumiem... Słyszałam, że jest chory, ale...

- Zawsze był słabowity - przerwał książę - woziłem go do lekarzy na całym świecie. Doktorzy to głupcy! Jednakże, jako mężczyzna, zdolny jest spłodzić dziecko. To tylko powinno nas obchodzić!

Książę mówił niemal niegrzecznym tonem. Leona powiedziała nieśmiało:

- Przykro mi, że jestem taka niemądra, ale nadal nie rozumiem... Dlaczego markiz miałby zgodzić się na takie dziwaczne i nienaturalne małżeństwo?

- Chcę, żebyś za niego wyszła, Leono - rzekł książę. - Uosabiasz wszystko, co godne podziwu w kobiecie, wszystko, co pragnąłbym widzieć w matce przyszłego księcia.

- To dla mnie zaszczyt, wasza wysokość. Książę jednak rozumie, jak sędzę, że nie mogę poślubić mężczyzny, którego nie kocham.

Przez skołataną głowę Leony przemknęła myśl, że nie zakocha się już nigdy w życiu, nigdy zatem nie wyjdzie za mąż.

- Romantyczne rojenia młodziutkiej dziewczyny - stwierdził książę.

Uniósł się z fotela, stając ponownie przed kominkiem.

- Masz na tyle rozumu, aby zdawać sobie sprawę, że małżeństwa w arystokratycznych rodach zawsze są aranżowane. Nie jest to sprawa, o której decydują chorobliwe, ckliwe uczucia pomiędzy dwojgiem ludzi, zbyt młodych, aby wiedzieć, czego chcą naprawdę, lecz kwestia połączenia majątków rodzin, w których żyłach płynie ta sama szlachetna krew.

- Nie mam majątku, wasza wysokość. W gruncie rzeczy jestem bez grosza! Nie śmiałabym nawet myśleć, że moja krew mogłaby się równać krwi książęcej.

- Twój ojciec był angielskim szlachcicem i posiadał godnych przodków opowiedział książę zdecydowanie. - Twoja matka wywodziła się z Macdonaldów, a twój pradziadek wstąpił się jako wódz. Bardowie wciąż śpiewają o nim pieśni.

Leona nie mogła zaprzeczyć. Zaskoczyło ją tylko, że książę tak świetnie znał historię jej rodziny.

- Jestem zatem dumny, że będziesz nosić nazwisko McArdnów - ciągnął, - A kiedy umrę zostaniesz księżną Ardness!

W jego głosie było tyle pewności siebie, że Leona powiedziała prędko:

- Wasza wysokość, chciałabym mieć trochę czasu, aby przemyśleć tę propozycję.

- Przemyśleć? - zdziwił się książę. - A cóż tu jest do przemyślenia? Zaplanowałem twoje małżeństwo, Leono. Ślub odbędzie się jutro albo pojutrze.

- Nie... nie! - krzyknęła Leona. Czuła się tak, jakby unosiła ją fala przyływu. Masa wody dusiła ją i topiła.

- Miałem, jak już wspominałem, zamiar poczekać jeszcze trochę - rzekł książę - ale swoim dzisiejszym zachowaniem spowodowałaś, że nie mogę dłużej igrać z losem w sprawie o tak pierwszorzędnym znaczeniu.

- Jakże mogę wyjść za mąż tak nagle? - zapytała Leona. - To niemożliwe! Poza tym...

Głos jej zamarł. Już miała oświadczyć, że kocha kogoś innego, gdy przypomniała sobie, iż w żadnym razie nie wolno jej spotkać się ani rozmawiać z lordem Strathcairem. Oszukał ją i ukradł jej serce jak złodziej cudzą własność. „Kocham cię, skarbie najdroższy - zapewniał - kocham cię od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem!”, mówił jej, a był żonaty! Nie miał prawa kochać nikogo poza własną żoną. Zapewniając, że musi opiekować się nią i dopilnować, aby oboje postępowali właściwie, okazał się człowiekiem niegodnym. Na myśl o tym ostry, niczym cios sztyletem, ból przeszył jej piersi. Był mężem innej kobiety. Kochać go stanowiłoby grzech śmiertelny, uragałoby poczuciu przyzwoitości i honoru, które nauczono ją szanować od dzieciństwa. Jakież to miało znaczenie, co stanie się z nią teraz. Skoro książę pragnął wydać ją za swego syna, może czeka ją lepszy los aniżeli tęsknota za mężczyzną niewartym serca, które mu ofiarowała.

Jakby świadom sprzecznych uczuć, które nią miotaly, książę powiedział:

- Pomyśl, jakie masz perspektywy, Leono? Jeśli nie poślubisz Euana.

Bezradnie rozłożyła ręce.

- Pozostanie w zamku Ardness byłoby dla ciebie krępujące. W każdym razie, mówiąc bez ogródek, postaram się znaleźć kogoś innego na twoje miejsce. Oznacza to tyle, że będziesz zmuszona rozejrzeć się za jakąś pracą, a wątpię czy taka wyjątkowo piękna i czarująca osoba zna się na czymkolwiek, co pozwoliłoby jej zarobić na utrzymanie. - Przerwał, aby podjąć po chwili innym tonem: - Jako księżna Ardness zajmiesz nie mającą sobie równej pozycję w Szkocji. W Anglii będziesz podejmowana na dworze. Będą cię fetować i otaczać podziwem. Uroda twoja, we właściwej oprawie, olśni wszystkich.

Odczekał chwilę, aby Leona mogła przemówić, ale dziewczyna patrzyła w ziemię. Czerń jej rzęs kontrastowała z bladością policzków.

- Sądzę, że możesz udzielić tylko jednej odpowiedzi na moją propozycję - kontynuował książę, - Nie wyprawimy hucznych zaślubin. Poza pastorem i mną nie będzie nikogo.

- Nie wyjdę za kogoś, kogo w ogóle nie znam. Leona postanowiła grad na zwłokę. Znowu ogarnęło ją przerażające uczucie, że unosi ją fala. Wiedziała, że książę ma nad nią przewagę i zmusi ją do posłuszeństwa. Zdumiona i załamana odkryciem, że lord Strathcairn jest człowiekiem żonatym, nie znajdowała w sobie dość siły, aby przeciwstawić się księciu. „Nie wolno mi dopuścić do tego ślubu”, pomyślała z rozpaczą. Jednakże nie panowała nad sytuacją, czuła, że nie zmieni biegu wypadków bez względu na to, co powie lub zrobi.

- Jeśli masz ochotę poznać mego syna - odezwał się książę - może to stać się w tej chwili.

Leona poderwała się przerażona.

- Czy książę chce powiedzieć, że on jest tutaj?

- Przebywa w zamku od paru lat - odrzekł książę. - Utrzymuję to w tajemnicy ze względu na stan jego zdrowia.

Zacisnął wargi, a w jego głosie zabrzmiała gorycz, gdy znowu przemówił.

- Wydaje się niemożliwe, abym ja, który nie przechorował w życiu ani jednego dnia, spłodził takiego cherlaka. Jest to krzyż, który muszę dźwigać.

Leona zrozumiała teraz, że księżę rzeczywiście cierpi. Zaczynała pojmować, co znaczyło dla niego, tak dumnego ze swego rodu, kalectwo syna,

- To nie tylko kwestia dziedziczenia - ciągnął księżę, mówiąc jakby do siebie. - Jak wiesz, kobieta w Szkocji może dziedziczyć. Zdarzało się nieraz, że córka wodza stawała na czele klanu. Niestety Elspeth nie żyje.

Leonę ogarnęło wzruszenie.

- Tak bardzo mi przykro.

- Są oczywiście kuzyni, którzy mogliby zająć moje miejsce - kontynuował księżę - ale to nie krew z krwi mojej, kość z kości. W naszym rodzie, jak sama widziałas oglądając drzewo genealogiczne, tytuł księcia od setek lat przechodził z ojca na syna. - Jego głos zmienił się ponownie i teraz słysząc w nim było błagalną nutę. - Daj mi wnuka, z którego będę dumny! Daj mi dziedzica tytułu, wodza klanu McArdnów a wszystko, co posiadam i czego tylko zapragniesz, będzie twoje!

Gdyby Leona nie spotkała nigdy lorda Strathcaina, nie pozostałaby pewnie nieczuła na zaklęcia starca. Jednakże, mimo tego, czego się o Strathcainie dowiedziała, mimo goryczy wywołanej jego zdradą, jakaś część jej duszy nadal należała do niego. Na myśl o tym, że mógłby dotknąć jej inny mężczyzna, wzdrygała się, jak pod dotknięciem gada.

- Być może, ja i pański syn moglibyśmy spotkać się i porozmawiać? - rzekła omdlewającym głosem.

Przyszło jej do głowy, że markiz pragnął może poślubić kogoś innego, na co księżę nie wyrażał zgody, i w takim razie

zdołaliby dojść do porozumienia. „Gdybyśmy zostali przyjaciółmi - myślała - jeśliśmy szanowali nawzajem swoje uczucia, może to wszystko nie wydawałoby się takie straszne.”

- Skoro jest w zamku - powiedziała nagle zdecydowanym głosem - czy mogę prosić o umożliwienie mi spotkania z nim już teraz?

- Wszystko przygotowałem zawczasu - rzekł książę. - Widzisz więc, że jestem jasnowidzem, jeśli chodzi o twoje życzenia.

Leona spojrzała zaskoczona. Była to ostatnia rzecz, o jaką mogłaby księcia podejrzewać. Po raz pierwszy ujrzała w nim zwykłego człowieka bolejącego nad swymi dziećmi, nie mającego nikogo, kto by go pocieszał i wspierał w wypełnianiu rozlicznych obowiązków wynikających z jego wysokiej pozycji. Usiłowała zapomnieć o nieznośnym ciężarze, który gniótł jej piersi, i stłumić w sobie rozpaczliwą tęsknotę za lordem Strathcairem. „Pragnę tylko jego!”, krzychało jej serce, podczas gdy książę wiódł ją szerokim korytarzem. „Żonaty mężczyzna! - sztychł głos wewnętrzny - mężczyzna, który należy do innej! A co z honorem i poczuciem przyzwoitości, w które nauczono cię wierzyć od dziecka?”

Książę przeszedł przez całą długość korytarza na pierwszym piętrze. Leona stwierdziła, że znaleźli się w części zamku, której do tej pory jej nie pokazywano. Książę otworzył kluczem ciężkie drzwi. Po obu stronach małego korytarza znajdowały się komnaty. Weszli do pomieszczenia po lewej stronie, w którym paliło się zaledwie kilka świeczek. Za to na kominku płonął jasny ogień. Na ich widok podniosło się dwóch mężczyzn. Przez chwilę Leona, trochę wystraszona, nie widziała ich wyraźnie w przyciemnionym wnętrzu. Potem zauważyła, że jeden z nich był znacznie wyższy i większy od

swego towarzyszą. Nosił spódniczkę i wspaniałe sporrany, a także kamizelkę ze srebrnymi guzikami, był zapewne markizem. Odruchowo przeszła za księciem przez pokój.

- Dobry wieczór, Euanie! - usłyszała głos księcia. - Przeprowadziłem Leonę, tak jak obiecałem. Jest bardzo piękna. Przywitaj się, Euanie.

Zapanowała cisza. Leona dygnęła i podniosła oczy. W skąym świetle trudno było przyjrzeć się markizowi dokładnie. Nie widziała wyraźnie jego twarzy.

Pouczająco, jakby zwracał się do dziecka, księżę odezwał się znowu:

- Powiedz Leonie „dobry wieczór”, Euanie!

- Piękna... Leona... bardzo... piękna! - usłyszała wypowiedziane z wysiłkiem niezbyt wyraźne słowa. Przemknęła jej przez głowę myśl, że markiz jest pijany. Potem patrzyła na niego wyteżając wzrok. Dostrzegła jajowatą głowę łysiejącą nad czołem. Miał małe wyłupiaste oczy, osadzone zbyt blisko nosa i na wpół otwarte usta o grubych wargach. Wtedy zrozumiała. Nie był pijany, lecz - upośledzony! Markiz był niedorozwinięty umysłowo.

Widowała już takich ludzi w swoich rodzinnych stronach. Znała chorego chłopca. Wielkiego silnego i nieforemnego. Nie był on jednak szaleńcem zagrażającym bezpieczeństwu innych. Jego mózg jednakże nie funkcjonował normalnie.

Chciało jej się krzyczeć. Z ogromnym trudem panowała nad sobą.

- Podaj Euanowi rękę, Leono - odezwał się księżę. Zbyt była oszołomiona, aby nie posłuchać. Wyciągnęła rękę. Markiz pochwycił ją w obie dłonie.

- Piękna... Leona! Piękna! - powtórzył, patrząc jej z bliska w oczy. - Żona... żona... dla Euana! - wykrzykiwał z nutą triumfu w głosie. - Piękna... żona... Leona!

Ręce miał gorące i miękkie. Leona wyczuwała w nim siłę, która wprawiała ją w przerażenie. Usiłowała uwolnić dłonie, ale bezskutecznie. Drugi mężczyzna wysunął się z cienia.

- Wystarczy, panie! - powiedział stanowczo. - Puść ją!

Markiz usłuchał niechętnie rozkazu i zwolnił uścisk. Leonie kręciło się w głowie. Księżę, jakby świadom jej stanu, ujął ją za ramię i skierował ku drzwiom.

- Dobranoc, Euanie - powiedział. - Dobranoc, doktorze Bronson.

- Dobranoc, wasza wysokość.

Bała się, że nie zdoła iść o własnych siłach. Szła jak automat. Znaleźli się wreszcie na korytarzu. Gdy księżę zamknął drzwi, usłyszała krzyk:

- Leona... piękna... Leona! Przyprowadźcie ją! Chcę... ją... mieć! Chcę... ją... mieć! Chcę...

Za kolejnymi drzwiami nie słyhać już było żadnego dźwięku. Leona osunęła się w ramiona księcia.

- Chodź, miałaś ciężki dzień, pora położyć się do łóżka.

Nie mogła wydobyć słowa. Na wpół zemdloną poprowadził do drzwi komnaty. Wewnątrz paliło się światło, ale nie było tam nikogo. Księżę usadowił Leonę na łóżku.

- Mój syn jest nieco podniecony dziś wieczór - powiedział lekkim tonem, - Zapowiedziano mu, że przyjdiesz i że zostaniesz jego żoną. Zazwyczaj jest bardzo spokojny i niezwykle posłuszny.

- Nie mogę wyjść za niego! - słabo zaprotestowała Leona.

Zmuszała się do mówienia. Nie była pewna, czy księżę ją słyszy.

- Rano inaczej będziesz na to patrzeć - powiedział, - Przedstawiłem ci inne rozwiązanie. Wyjaśniłem bez niedomówień, że gdy tylko spełnisz swoją rolę, nie będziesz musiała więcej oglądać męża. Słyszałem, że ludzie dotknięci tego typu upośledzeniem, nie żyją długo. Jesteś młoda i

piękna. Będiesz bogata i wpływowa. Nie trzeba daru jasnowidzenia, aby stwierdzić, że wielu będzie mężczyzn w twoim życiu. Mężczyzn, którzy obdarzą cię miłością i którym ty, zapewne, to uczucie odwzajemnisz. Nie będzie w tym nic niewłaściwego.

Leona nie odpowiadała. Była jak sparaliżowana,

- Bądź rozsądna - rzekł książę. - Popelnisz błąd zastanawiając się nad tym zbyt długo. Pewien jestem, że najlepiej postąpimy nie zwlekając ze ślubem dłużej niż do jutra wieczór!

Mówiąc to pociągnął za dzwonek i nie czekając na pojawienie się służby, wyszedł z pokoju.

Nic nie mąciło ciszy w mroku komnaty. Leona nasłuchiwała, jak czyniła to często, odkąd przybyła do zamku. Od pójścia do łóżka upłynęło parę godzin. Leonie wydawało się, że w jej duszy rozegrała się w ciągu tego czasu straszliwa, wyczerpująca siły żywotne walka, która jakimś diabelskim sposobem odmieniła jej osobowość i charakter. Z jednej strony targła nią rozpacz z powodu utraconej miłości, z drugiej - czuła przerażenie i odrazę do nieszczęsnej istoty, którą książę nazywał swym synem i którą przeznaczył jej na męża. Matka mówiła jej, że takim ludziom należy się współczucie.

- Niewielu pojmuje, co to choroba umysłowa - mówiła niegdyś, - W Londynie chorych zamyka się i traktuje jak przestępców. Na wsi pozwala im się chodzić wolno, chyba że są niebezpieczni. Nie robi się jednak nic, aby im pomóc, nikt nawet nie stara się ich zrozumieć.

„Książę próbował zrozumieć swego syna”, pomyślała. Żaden lekarz, żadna z metod leczenia, jakim poddano markiza, nie odniosły pożądanego skutku. Nie potrafiono wyjaśnić, skąd brało się podobne wypaczenie natury, jednakże wypadki takie były dość częste., Myśl o poślubieniu chorego umysłowo

człowieka przyprawiała Leonę o mdłości. Była niewinna, nie miała pojęcia o fizycznej stronie miłości - Sądziła, że to coś bardzo intymnego, zbliżającego dwoje ludzi. Drżała z obrzydzenia na wspomnienie dotyku gorących dłoni o gładkiej skórze, dłoni, w których tkwiła ogromna siła. Zdawała sobie sprawę, że księżę gotów był wymusić na niej posłuszeństwo, mimo że do tej pory starał się przekonać ją logiczną argumentacją. W gruncie rzeczy niewielkie miała szanse ucieczki. Księżę postawił sprawę jasno. Jeśli Leona odmówi, będzie zmuszona opuścić zamek i księżę nie da jej złamanego szeląga. A jeśli ziszczą się jej najgorsze przewidywania? Czy ma realne szanse ucieczki? Czy zamek Ardness rzeczywiście stał się dla niej więzieniem, tak jak obawiała się od początku? Jutro, nie zważając na jej opór, gdyby się nań zdobyła, księżę nieuchronnie zaciągnie ją z powrotem do komnaty markiza. Zjawi się pastor i zanim się Leona obejrzy, zostanie żoną młodego McArdna. A potem? Nie chciała nawet o tym myśleć. Sugestie księcia, ażeby po wydaniu na świat upragnionego potomka zaczęła cieszyć się swobodą i rozejrzała za kochankiem, zaszokowały ją tak, jakby to sam diabeł we własnej osobie namawiał ją do złego. „Mamo! Mamo! - krzyknęła w ciemności - co mam robić? Jak stąd uciec?” Podejrzewała, że służba otrzymała rozkaz, aby ją zatrzymać, gdyby wybierała się ponownie na samotną wycieczkę. Księżę osobiście dopilnuje, aby wszelkie próby sprzeciwu wywietrzały jej z głowy. W ogóle nie dopuści jej do głosu i dopnie swego nie licząc się z niczym. „Nie mogę się na to zgodzić! Nie mogę!”, - powtarzała w duchu. Przypomniała sobie bełkot markiza wypowiadającego nieudolnie jej imię i jego krzyk, gdy opuścili komnatę. Odżyło w niej teraz wspomnienie pewnego wydarzenia sprzed lat, o którym, jak sądziła, już dawno zapomniała. Była wtedy małą dziewczynką. Coś złego stało się wówczas z pewną młodą

wieśniaczką, której imienia Leona nawet nie pamiętała. Wiedziała tylko, że ojciec strasznie się gniewa.

- To hańba! - krzyczał wtedy. - Ten człowiek jest chory, nienormalny! Należałoby go zamknąć, a nie pozwalać włóczyć się po okolicy i molestować uczciwe dziewczęta!

- On jest zupełnie spokojny, kochanie, z wyjątkiem okresów, gdy jest pełnia księżycy - mówiła matka.

- Księżyc! Księżyc! - wykrzykiwał gniewnie ojciec. - Co to za usprawiedliwienie. Jeśli ten człowiek dostaje wtedy szału, jak mówisz, to powinno się go wiązać jak bestię.

- To wielkie nieszczęście - broniła się słabo matka Leony.

- Nieszczęście?! - krzyczał ojciec. - A co stenie się z nieszczęsnym bękartem, owocem gwałtu dokonanego przez szaleńca?

Matka nic wtedy nie odrzekła i ojciec wybiegł z pokoju trzaskając drzwiami.

- Co się stało? Dlaczego tatuś się gniewa? - pytała Leona.

- Nie rozumiałabyś tego, kochanie.

- A co to za dziewczyna, którą skrzywdzono?

- To jedna z wieśniaczek, które pomagają w ogrodzie przy zbiorach. Biedne dziecko. Wybiorę się tam i zobaczę, w czym będę mogła jej pomóc - mówiła matka wzdychając ciężko.

Leona pamiętała dobrze gniew ojca i jego słowa: „Gwałt dokonany przez szaleńca.” Przestraszona spojrzała w kierunku okna. Srebrzyste światło przebijało przez firankę.

Pułapkę zastawiono tak sprytnie, że nie zdoła się wyplątać. Zdjęta przerażeniem leżała odrętwiała, ze świadomością, że dzień jutrzejszy nadejdzie nieuchronnie. Będzie wtedy musiała stanąć twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem.

Nagie usłyszała dziwny dźwięk. Nasłuchiwała każdej nocy i teraz jej obawy ziściły się. Ktoś skradał się korytarzem stąpając cicho i powoli. Usiłowała przekonać samą siebie, że

to pani McKenzie. Kobieta nie szła by jednak tak ciężkim krokiem. Leona usiadła na łóżku, serce jej biło jak szalone. Przypomniała sobie z ulgą, że po odejściu służących, zamknęła drzwi na klucz. Nie robiła tego, odkąd zamieszkała w zamku. Tej nocy wiedziała jednak, że będzie płakać gorzkimi łzami nad utratą ukochanego mężczyzny, i nie życzyła sobie żadnych świadków swego upokorzenia i rozpacz.

Pani McKenzie przychodziła często do jej pokoju, gdy Leona była już w łóżku. Przynosiła coś ciepłego do picia, dorzucała do ognia na kominku. Leona doceniała pełną respektu troskliwość gospodyni. Gdy kleiły jej się oczy i cudza obecność stawała się uciążliwa, prosiła grzecznie, aby jej nie przeszkadzano. Dzisiaj nie czuła się na siłach tłumaczyć pani McKenzie, dlaczego płacze. Dlatego zamknęła drzwi na klucz. Pocieszała się teraz, że ktokolwiek znajduje się na korytarzu, nie zdoła dostać się do środka. O tak późnej porze nie mogła to być pani McKenzie ani żadna ze służących.

Kroki ucichły przy drzwiach. Leona leżała bez ruchu. Usłyszała chrobotanie przy klamce. Dźwięk był bardzo cichy. Osoba za drzwiami dyszała ciężko, nierówno. Leona pomyślała, że to musi być podniecony mężczyzna. Nabrała pewności, że to markiz. Dłonią zasłoniła usta, tłumiąc wyrywający się z gardła okrzyk strachu. Klamka szcęknęła znowu, tym razem głośno. Ktoś szarpał nią hałaśliwie nie kryjąc się już wcale. Nastąpiło głucho uderzenie, tak jakby usiłowano wyważyć drzwi ramieniem. Nie ustąpiły. W przerażonej głowie Leony kołatała myśl, że intruz nie zdoła ich sforsować. Jej ciało spływało potem i czuła suchość w gardle. Sapanie nasiliło się.

- Leona... piękna... Leona!

Leona mocniej jeszcze przycisnęła dłoń do ust.

- Moja... żona... Leona! Chcę... ciebie!... Chcę... ciebie! - odezwał się ponownie markiz.

Nie była w stanie się poruszyć. Z wysiłkiem chwyciła powietrze. Miała wrażenie, że za chwilę się udusi. Wtedy usłyszała kroki, które tym razem oddalały się od drzwi. Ich odgłos zamarł w oddali. Nasłuchiwała, dopóki do jej uszu nie dotarł dźwięk zamykanych gdzieś daleko drzwi. Dopiero wówczas opadła na poduszki trzęsąc się ze zgrozy na myśl o tym, co mogło ją spotkać. Ogarnęły ją wątpliwości. Czyżby księżę maczał w tym palce? Czy to było zgodne z jego planem, aby markiz zjawił się w jej pokoju i, zaspokoiwszy swoje żądze, postawił ją w sytuacji przymusowej? Na pozór było to mało prawdopodobne. Wydawało się jednak dziwne, że przez cały czas bytności w zamku Ardness nie miała pojęcia, że markiz przebywa tu także. A jednak dzisiaj udało mu się wymknąć lekarzowi, wydostać ze swej kryjówki, aby przyjść do jej komnaty. Podnieciło go wcześniejsze spotkanie, a także księżyc za oknem. I jutro ten szaleniec miał zostać jej mężem!

Pospiesznie, w panice, ogarnięta nagłą chęcią ucieczki, wyskoczyła z łóżka i zaczęła się ubierać. Nie zapaliła świecy, wystarczyło odsunąć zasłony, aby światło księżyca zalało pokój srebrzystym blaskiem. Księżyc w pełni, tak piękny przecież, wywierał niebezpieczny wpływ na chore umysły. W cierpiącej duszy markiza rozbudził pożądanie, pragnienie posiadania kobiety - jako żony!

Rozdział 6

Leona z wielkim trudem przedzierała się przez wysokie wrzosi. Miała wrażenie, że rośliny próbują jej przeszkodzić w ucieczce czepiając się sukni, oplątując nogi. Dławił ją coraz większy strach. Oglądając się za siebie widziała w świetle księżycy zamek, wydawał się jej jeszcze bardziej ponury i groźny. Panująca w dolinie ciemność potęgowała, grozę. Leona spodziewała się, że jej zniknięcie w każdej chwili może zostać odkryte, i nasłuchiwała odgłosów pogoni. Jej suknia zaczepiła się o krzaki jeżyn. Gdy usiłowała się uwolnić, cienki materiał rozerwał się z trzaskiem. W zamku spieszyła się tak bardzo, że włożyła na siebie pierwszą suknię, jaka jej wpadła w ręce. Zauważyła teraz, że nie była to jedna z nowych, świetnych toalet podarowanych przez księcia, ale stara sukienka z różowego batystu, którą sama uszyła. Nie nadawała się na spacer po wrzosowisku. Z drugiej strony, mimo szerokiej spódnicy, była lżejsza aniżeli wzmocniona fiszbinami krynolina.

Kiedy uciekała z zaniku, chwyciła wełniany szal i nie czesząc włosów, które spływały jej na ramiona, podbiegła do drzwi sypialni i stanęła tam wstrzymując oddech i wyęzając słuch. Skąd mogła wiedzieć, czy markiz nie zaczął się na nią w korytarzu? Żaden dźwięk nie mącił ciszy, wobec tego Leona bardzo wolno i ostrożnie otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Korytarz był prawie całkiem pogrążony w ciemności. Jedyne w dwóch czy trzech ściennych lichtarzach dopalały się świece. Skąpego światła starczyło, aby stwierdzić, że nie ma tam nikogo, kto mógłby śledzić, jak skrada się na palcach do głównego holu. Szaleństwem byłoby próbować wydostać się przez drzwi frontowe, nawet gdyby miała dość siły, aby poradzić sobie z ciężkim rygłem. Znała jednak boczne drzwi do ogrodu, które udało jej się otworzyć. Wyszła na zewnątrz, owionęło ją chłodne nocne powietrze.

Pobiegła przez trawnik najszybciej jak potrafiła, chcąc ukryć się w krzewach rododendronu okalających ogród. Przedarła się przez zarośla, a potem, przedostawszy się przez płot, znalazła się na wrzosowiskach. Poruszała się tak szybko, że traciła oddech. Wspinaczka na strome zbocze wyczerpała ją straszliwie. Paniczny strach dodawał jej siły. Bała się, że gdyby schwytano ją teraz i odstawiono do zamku, straciłaby jakiegokolwiek szanse na powtórny ucieczkę. Szła pod górę nie zadając sobie trudu szukania owczych ścieżek. Dobywając resztek sił kierowała się wprost na zamek Cairn, Myślała tylko o ucieczce. Zapomniała nawet na chwilę, że lord Strathcairn sprzeniewierzył się jej miłości. Wiedziała jedno - musi opuścić posiadłości księcia, zanim odkryją, że zniknęła.

Wreszcie gdy serce jej biło tak rozpaczliwie z wysiłku, jakby miało wyskoczyć z piersi, a oddech stał się przerywany i chrapliwy, dotarła na szczyt wzgórza. Zobaczyła kopiec. Potknęła się nagle i upadła czepiając się kurczowo kępek Wrzosów, jak tonący chwyta się słomki. Przez chwilę nie mogła złapać oddechu, nie była w stanie się podnieść. Nadludzkim wysiłkiem zdołała wreszcie stanąć na nogach i ruszyć dalej. Wiedziała, dokąd pójść. W jednym tylko miejscu będzie bezpieczna. Zbiegła ze wzgórza. Zanim jeszcze ujrzała iskrzącą się srebrzyście w księżycowej poświacie tafłę wody, usłyszała szum skalnego wodospadu, "Jestem już bezpieczna - pomyślała z ulgą - jestem bezpieczna!" Przez chwilę patrzyła, jak woda rozbryzguje się na kamieniach. Niczego nie będzie musiała się obawiać, gdy znajdzie się za wodną zasłoną, w jaskini, która dała bezpieczne schronienie członkom klanu McCairnów po bitwie pod Culloden. Niewielu ludzi wiedziało o istnieniu tej kryjówki. "Jestem bezpieczna! - pomyślała znowu - dzięki ci Boże." Uniosła twarz ku gwiazdom, uświadomiwszy sobie, że nie musi się spieszyć. Do świtu było jeszcze parę godzin. Nagle poczuła się straszliwie znużona i

ruszyła w stronę wodospadu. Bez większego trudu odnalazła miejsce, w którym lord Strathcairn odgarnął wrzosa, aby pokazać jej przejście do jaskini.

W jaskini panowała nieprzenikniona ciemność, ale tutaj nie bała się już niczego. Utnie szła przed siebie, póki nie opadła na ziemię. Wsparła plecy o gładką skałę. Wyprostowała nogi. Z pończoch pozostały strzępy. Miała podartą suknię. To nie miało znaczenia, podobnie jak to, że jej mocno podrapane nogi krwawiły. Gdy przedzierała się przez krzewy i osty nie czuła niczego, teraz jednak rany zaczynały jej dokuczać.

„Uciekłam, uciekłam!”, szepnęła. Zatrzęsła się na wspomnienie koszmaru, jaki przeżyła, gdy markiz usiłował wdrzeć się do jej pokoju. „Muszę zastanowić się, Co robić dalej”, powiedziała do siebie, ale ciężko jej było zebrać myśli. Zmusiwszy umysł do wysiłku postanowiła, że z nastaniem brzasku uda się do zamku Cairn. Była przekonana, że ludzie lorda zawiadomią go zawczasu o jej przybyciu. „Poproszę go, aby mi pożyczył pieniądze na powrót do domu - zdecydowała. - Jeśli dom nie został jeszcze sprzedany, będę mogła przynajmniej w nim pomieszkać i poszukać jakiejś pracy.” Miała nadzieję, że zaprzyjaźniony gospodarz znalazł kupca i dostanie pieniądze, które uchronią ją na razie przed głodem. „Nie mam się do kogo zwrócić, tylko do niego”, myślała bezradnie. Wiedziała, że spotykając się ponownie ze Strathcairem naraża się na cierpienie. Upokarzało ją to, że musi go prosić o pomoc, nie widziała jednak innego wyjścia. Samo myślenie o nim sprawiało jej nieznośny ból. Czuła się oszukana. Lord Strathcairn, jako mężczyzna, zdawał się spełniać wszystkie jej nadzieje i tęsknoty. Poczucie bezpieczeństwa, jakiego doznawała w jego ramionach, obudziło w niej miłość, zanim ją pocałował. Już nigdy w życiu, myślała z rozpaczą, żaden mężczyzna nie będzie w

stanie zauroczyć ją do tego stopnia. Na myśl o utraconym szczęściu napłynęły jej łzy do oczu. Zaraz potem wypomniała sobie surowo, że nie pora na daremne żale. Musi skupić się na tym, jak zapewnić sobie powrót do domu, do Anglii. Uświadomiła sobie, jak bardzo pusty i smutny będzie rodzinny dom bez matki. Załkała zasłoniwszy oczy rękami. „Pomóż mi mamó, pomóż!”, błagała w duchu. Jej żarliwe modły utonęły w szumie wodospadu.

Nagle, oczami duszy ujrzała postać lorda Strathcaina rysującą się na tle kaskady. Wspomniała, jak chwycił ją w objęcia i całował zapamiętale. Była teraz nieszczęśliwa, zrozpaczona, przerażona. Dodawała sobie ducha rozpamiętując słodkie uniesienia, jakich wówczas doznała. Były one tak cudowne i czyste, że nawet teraz z trudem mogła uwierzyć, że padła ofiarą oszustwa.

- Ach, Torquil, jak mogłeś? - szepnęła.

Siłą woli powstrzymywała cisnące się do oczu łzy. Wyczerpana wydarzeniami w zamku i paniczną ucieczką, osunęła się niżej na ziemię. Ułożyła się w końcu na żwirze, podłożyła ręce pod głowę i zasnęła.

Kochanie, co się stało? Skąd się tu wzięłaś? - usłyszała jak przez mgłę.

Lord Strathcain pojawił się niespodziewanie obok niej. Podniósł ją z ziemi. Na moment jego obecność wzbudziła w niej dziką, nieokiełznaną radość.

- Nie mogłem uwierzyć, gdy obudzono mnie o świcie i jeden z moich ludzi, który polował w nocy na lisy, powiedział, że w nocy przeszłaś granicę moich ziem! - rzekł Strathcain. Leona usiłowała stłumić zalewające ją uczucie i uwolnić się z objęć lorda.

- Ukrywałam się... - wyjąkała.

- Dlaczego? Przed kim? - zapytał Strathcairn. Spojrzał w dół i dostrzegł jej podarte pończochy. Na nogach miała zakrzepłą krew. - Skaleczyłaś się!

- Musiałam uciekać... a to jest jedyne miejsce, w którym mogłam znaleźć schronienie.

Przyciągnął ją bliżej i zapytał spokojnie:

- Powiesz mi, co się stało?

Wtuliła twarz w jego ramię. Starła się nie stracić panowania nad sobą. Szukała słów, aby opisać koszmar, jaki przeżyła,

- Księżę chce... abym wyszła za męża za jego syna! - szepnęła. - A on nie jest normalny. Jest upośledzony umysłowo!

- Mój Boże! - Trzymał ją teraz tak mocno, że z trudem chwytła oddech.

- Czy to prawda? - zapytał po chwili. - Czy księżę byłby naprawdę zdolny uczynić coś podobnego?

- Widziałam się z markizem. Potem... próbował wejść do mego pokoju. Poczula, że mięśnie lorda naprężyły się z niepokoju i szybko dodała:

- Drzwi były zamknięte na klucz. Kiedy odszedł... uciekłam z zamku.

- Dzięki Bogu, że tak się stało! - krzyknął Strathcairn. - Zabiorę cię do domu, skarbie. Chodź, zmarzłaś okropnie.

Opiekuńczym gestem poprawił jej szal na ramionach. Dopiero wtedy poczuła, że powietrze jest zimne i wilgotne. Była zbyt przejęta, aby zwrócić na to uwagę wcześniej. W świetle poranka przebijającym przez wodny welon dostrzegła małe strumyczki spływające po ścianach jaskini.

Lord postawił ją na nogach.

- Kiedy dotrzemy do zamku - powiedział - weźmiesz gorącą kąpiel i wypijesz coś ciepłego. Przystaniesz wtedy myśleć o tej okropnej przygodzie.

W jego głosie było tyle serdecznej troski, że Leonie zrobiło się lżej na duszy. Chciała mu powiedzieć, że wie o jego żonie, ale nie mogła się na to zdobyć.

Lord szedł pierwszy, rozsuwając krzaki wrzosów. Gdy wynurzyli się z jaskini, blade promienie wschodzącego słońca przeganiały właśnie resztki ciemności. Cudowna świeżość poranka oszołomiła Leonę.

Strathcairn puścił gałęzie wrzосу. Krzaki wyprostowały się natychmiast maskując przejście. Objąwszy dziewczynę ramieniem skierował się ku miejscu, w którym zostawił konie. Wyszli zza wzgórka i zatrzymali się gwałtownie. Leona wydała cichy jęk.

Obok koni lorda stało pięciu brodatych wysokich mężczyzn. Krata tartanu wskazywała na przynależność do klanu McArdnów. Leona zrozumiała od razu, że ksiązę wysłał ich za nią w pogoń. Mieli sprowadzić ją z powrotem do zamku. Nawet gdyby nie zauważono, jak wspinała się na wzgórze, ksiązę łatwo mógł się domyślić, dokąd uciekła. Kiedy jej prześladowcy doszli do kopca, zobaczyli konia należącego do lorda.

Jakby chcąc ją uspokoić, Strathcairn wzmocnił uścisk ramienia.

- Czego chcecie?

- Jego wysokość rozkazał nam, panie, odnaleźć tę damę i zabrać ją do zamku.

- Panna Grenville jedzie ze mną - odparł Strathcairn. - Trzymamy się rozkazów, wasza lordowska mość, Zapadła nieprzyjemna cisza. Leona domyślała się, że lord

rozważa swoje szanse w starciu z pięcioma gotowymi na wszystko mężczyznami. Zanim się odezwał, usłyszeli lekki hałas za plecami. Pojawił się kolejny sługa księcia prowadzący ardneńskiego kucyka, jednego z tych, które używane były do polowań na wrzosowiskach. Konik miał

założone damskie siodło. Książę musiał być pewien, że jego ludzie wywiążą się z powierzonego im zadania.

Leona przeraziła się nagle, że Strathcairnowi zabraknie rozwagi i zechce walczyć. Szepnęła pospiesznie, chcąc go uprzedzić:

- Muszę jechać z nimi.

- Myślę, że nie ma innego wyjścia - rzekł spokojnie - ale pojedziemy razem.

Zobaczył ulgę w jej oczach. Gdy kucyk zbliżył się do nich, podniósł ją i posadził w siodle.

- Nie bój się - powiedział. - Obronię cię.

Serce Leony zabiło z radości. Przypomniała sobie jednak, że Strathcairn nie może zapewnić jej rzeczywistej ochrony, jako że małżeństwo nie wchodziło w grę.

Mógł wyrazić sprzeciw wobec zamiarów księcia, argumentować, że nie wolno zmuszać jej, aby postąpiła wbrew własnej woli, ale książę miał przewagę. „Jest moim opiekunem - myślała - a Torquil jest obcy i nie ma do mnie żadnych praw.” Jednak, instynkt podpowiadał jej, że może mu ufać. Kochając go nie mogła myśleć inaczej. W czymkolwiek zawinił wobec niej, kochała go tak, że wszystko inne traciło znaczenie.

Sługa prowadzący kuca Leony szedł przodem. Za nim jechał lord Strathcairn. Pięciu McArdnów zamykało orszak. Gdy zstępowali po długim zboczku w stronę zamku, Leona zastanawiała się, czy książę patrzy przez okno, triumfując, że dopiął swego, pewien, że nie uda jej się uciec po raz drugi. Zejście ze wzgórza, które Leona tak szybko pokonała ubiegłej nocy, zajęło im trochę czasu. Konik potykał się co i rusz na kamieniach. Mimo że prowadzono ją jak więźnia, Leona cieszyła się, że pewna dłoń górala trzyma kuczka za uzdę.

Gdy znaleźli się na dnie doliny, nie ruszyli przez ogrody, lecz drogą wiodącą do podjazdu. W końcu stanęli przed

wielkimi, obitymi żelazem frontowymi drzwiami. Były otwarte, na progu czekał majordom, a za nim służba. Spojrzał na Strathcaina zaskoczony. Bez słowa powiódł ich przez sień, a potem po schodach na górę.

Teraz gdy mogli iść obok siebie, lord Strathcain schwycił rękę Leony i trzymał ją mocno. Jej palce, zimne jak lód, drżały.

- Wszystko w porządku, kochanie - powiedział cicho, tak aby tylko ona mogła go usłyszeć. - Nie bój się, wiesz, że cię obronię.

Chciała odpowiedzieć, ale głos zamarł jej w gardle. Z trudem poruszała odrętwiałymi wargami. Zdała sobie nagle sprawę, jak dziwacznie musi wyglądać w cienkiej różowej sukience - matka śmiała się, że przypomina w niej pączek róży - z włosami opadającymi luźno na ramiona i rozszerzonymi strachem oczami.

Majordom otworzył drzwi do pokoju księcia.

- Panna Grenville, wasza wysokość, oraz lord Strathcain! - zaanonsował donośnie.

Książę stał przy kominku. Wyglądał jeszcze bardziej władczo i groźnie niż zazwyczaj. Wystarczyło tylko zerknąć na jego twarz, aby stwierdzić, że był wściekły. Głęboka zmarszczka między gęstymi siwymi brwiami nie wróżyła niczego dobrego, a oczy błyszczały złowieszczo.

Spojrzał na Leonę, potem na lorda.

- Nie zapraszałem cię, Strathcain - odezwał się po chwili.

- Wie pan dobrze, co mnie to sprowadza - odparł lord Strathcain.

- Nie wiem o niczym! - krzyknął książę. - Mówiłem panu już, że to, co się dzieje w moim hrabstwie, na mojej ziemi i w moim zamku nie powinno pana w najmniejszym stopniu obchodzić!

- A jednak obchodzi mnie - odparł Strathcairn. - Pragnę rozmawiać bez uprzedzeń, wasza wysokość, więc proszę, żeby dawne sprzeczki nie przeszkodziły nam w rozważeniu sprawy, która dziś dotyczy nas obu.

- Powiedziałem panu, gdyśmy ostatni raz się widzieli - oświadczył ksiązę - że nie mamy więcej o czym mówić i że dla mnie pan i pański mało znaczący klan w ogóle nie istnieje. Nie ma powodu, abym zmienił zdanie.

- Są powody, wasza wysokość - stwierdził lord - bo chcę teraz zająć się sprawą Leony Grenville.

- To nas nie dotyczy! - rzekł ostro ksiązę.

- To nieprawda - odparł lord Strathcairn. - Ponieważ, jak już wspomniałem, kłócąc się niczego nie zyskamy, a moglibyśmy, w gruncie rzeczy, tylko zaszkodzić Leonie, pragnę przedstawić swoje propozycje spokojnie i bez gniewu. Tu przerwał. Za chwilę zapytał swobodnym tonem:

- Czy mogę usiąść?

- Nie! - rzucił gniewnie ksiązę. - Przyszedłeś pan bez pozwolenia. Nie oferuję panu gościny i jeśli nie wyniesiesz się pan z własnej woli, rozkażę służbie, aby wyrzuciła cię siłą!

Leonę przeraziła gwałtowność księcia. Lord Strathcairn wyczuł, że jest poruszona. Puścił jej dłoń i podszedł bliżej do starca.

- Staram się rozmawiać z waszą wysokością spokojnie i rozsądnie - powiedział. - Czy wysłucha mnie pan? Pozwólmy Leonie przedstawić jej punkt widzenia a może zrozumie pan, że pańskie plany są absolutnie niewykonalne!

- Jak śmiesz podważać mój autorytet! - zagrzmiał ksiązę.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie wrogo. Leona usłyszała szmer za plecami. Pomyślała, że to służący i odwróciła głowę. Krzyknęła i wiedziona impulsem, wyciągnęła ramiona do Strathcairna. Na próżno! Markiz wślizgnął się do pokoju po cichu nie zwracając niczyjej uwagi.

„Leona... piękna... Leona,..” Pochwycił ją w ramiona i nie zważając na jej krzyki, wyniósł z komnaty. Lord i księżę rzucili się w pogoń, ale markiz okazał się szybszy. Krzyczała, gdy gnał wzdłuż korytarza dźwigając ją na plecach. Tupał hałaśliwie. Biegł niezdarnie, ale niewiarygodnie szybko. Błyskawicznie przebył schody i ruszył korytarzem po drugiej stronie zamkowego skrzydła przyciskając Leonę tak silnie, że nieomal ją dusił. Próbowwała walczyć, ale jego ramiona były jak stalowe obręcze. Szalenciec odznaczał się demoniczną siłą. Dotarli do końca korytarza. Słyszała krzyki ścigających ich mężczyzn. Markiz szarpnął jakieś drzwi. Przez krótką chwilę widziała kamienne schody prowadzące na wieżę. Potem markiz przycisnął jej twarz do swego płaszcza zasłaniając jej oczy. Ciężki krok szaleńca zadudnił na kamiennych schodach. Znowu usiłowała się wyrwać. Bezskutecznie. Markiz dobiegł do szczytu wieży. Stał na moment, aby zerwać ze ściany starodawny miecz. Księżę opowiadał Leonie, kiedy zwiedzali razem wieżę, że broń ta należała do strażników, którzy w dawnych czasach wypatrywali stąd wroga. Markiz wciągnął Leonę na dach i zatrzasnął drzwi.

- Puść mnie! - zaczęła gwałtownie, ale uświadomiła sobie, że nie jest to dobra metoda postępowania z obląkańcem. Spojrzała markizowi prosto w twarz. Po błysku szaleństwa w jego oczach i ślinie ściekającej z kącików ust poznała, że ogarnęło go niezdrowe podniecenie.

- Postaw mnie... Euanie - powiedziała miękko.

- Leona... moja!... - wykrzyknął. - Moja... żona... chcę... ciebie!

- Sprawiasz mi ból - rzekła Leona - a to nieładnie. Jej spokój wywarł na nim pewne wrażenie.

- Piękna... Leona - wybełkotał. - Piękna... piękna... Leona. Dziki, przerażający wyraz jego oczu nie zmieniał się.

- Postaw mnie, proszę - nastawała Leona. - Chcę poprawić włosy, aby ładnie wyglądać.

Dzięki swej niezwykłej sile Euan mógł z łatwością trzymać ją tylko jedną ręką. W drugiej miał miecz. Powoli, z wahaniem, postawił ją na ziemi. Z nadludzkim wysiłkiem Leona zdołała uśmiechnąć się do niego.

- Dziękuję - rzekła - jesteś miły, Euanie.

- Miły... dla... Leony... - odparł z wolna. - Moja... żona... moja!

Odsunęła się odrobinę, bojąc się działać zbyt pośpiesznie, aby nie pochwycił jej znowu.

Stał, utkwivszy w niej oczy. W jego uważnym spojrzeniu było coś niepokojącego. Coś, czego nie umiała nazwać. Nagle drzwi na wieżę otworzyły się. Stała w nich książę.

- Chodź tu natychmiast, Euanie! - - rozkazał, - Słyszysz? Chodź tu!

Markiz odwrócił głowę i Leona pomyślała z ulgą, że usłucha ojca. Ale szalenciec postąpił do przodu i nagłym ruchem wbił miecz w pierś starca!

Książę nie wydał żadnego dźwięku, jego usta skrzywiły się w dziwnym grymasie. Siła ciosu odrzuciła go do tyłu. Potoczył się po schodach.

Markiz roześmiał się i ponownie zamknął drzwi. Leona nie wierzyła własnym oczom. Miecz, przesywający ciało starego człowieka, krew na ostrzu, odgłos padającego ciała, wydawały jej się sceną z koszmarne snu. Objąwszy głowę rękoma wpatrywała się w markiza pociemniałymi z przerażenia oczami. Ten, tymczasem, wsunął ciężki żelazny rygiel we właściwe miejsce przy drzwiach.

- Sam... z piękną... Leoną - zawołał zadowolony. Sposób, w jaki teraz na nią patrzył, przeraził ją bardziej niż to, co działo się przed chwilą. Starła się uporządkować myśli, ale

nadaremnie. Widok zakrwawionego miecza przyprawiał ją o mdłości.

- Odrzuć miecz, Euanie! Odrzuć miecz! - błagała. - Jest brzydki! Wyrzuć go!

Zrozumiał widocznie jej słowa, bo po chwili powtórzył:

- Brzydki... zbyt... brzydki... dla... pięknej... Leony.

- Tak, tak, to prawda. - Leona przytaknęła skwapliwie. - Brzydki!

Wydawało się, że pragnie zrobić jej przyjemność, przeszedł bowiem w poprzek wieży, aby wyrzeć na dziedziniec zamkowy przez blanki. Leona nie poruszyła się. Usłyszała głosy. Jeden z nich rozpoznała jako należący do doktora Bronsona.

- Zejdź do nas, panie! Chcę z tobą pomówić - krzyknął psychiatra. - Pora na śniadanie. Chodź, zjemy je razem.

Markiz wciąż spoglądał w dół. Leona ruszyła w stronę blanków.

Daleko, w dole - jako że wieża była wysoka - dostrzegła doktora Bronsona oraz tłum służby. Był tam i majordom. Wbrew oczekiwaniom nigdzie nie była w stanie wypatrzeć lorda Strathcairna.

- Zejdź, panie! Wiesz, że źle postępujesz. Zejdź na dół!

Doktor usiłował przekonać swego pacjenta. Leona spojrzała na markiza, aby stwierdzić, czy argumenty Bronsona skutkują. Na grubych wargach szaleńca igrał złośliwy uśmiezek, gdy wychyliwszy się nieco, rzucił miecz prosto w doktora! Bronson uskoczył w ostatniej chwili. Miecz przeleciał tuż obok niego. Markiz zaśmiał się głośno.

- Martwi... wszyscy... martwi! - wykrzyknął z zachwytem i skierował się ku Leonie. Próbowwała uciec, ale szybko ją złapał. Był zatrwająco blisko. Jego ręce oploty ją tak, że nie mogła się ruszać.

- Leona... piękna... Leona! - powtórzył bełkotliwie.

W jego głosie brzmiało narastające podniecenie. Niedźwiedzi uścisk niemal łamał jej żebra. Odchylił brodą jej głowę do tyłu i dotknął ustami czoła. Krzyknęła i w tym momencie usłyszała głos:

- Przestań! przestań natychmiast!

Rozkazujący ton sprawił, że markiz zwolnił uścisk odwracając głowę. Leona dostrzegła lorda Strathcairna, który wspiał się na szczyt wieży po murze. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża. Ryzykował życie nawet teraz, gdy stapał bezpiecznie po dachu. Poczula, jak mięśnie markiza naprężają się. Domyśliła się, że za chwilę rzuci się na lorda. Być może straci go z wieży.

- Uważaj! Uważaj! - krzyknęła.

Lord wyciągnął sztylet zza getra i skierował ostrze ku markizowi.

- Puść ją! - zawołał rozkazującym głosem i ku zaskoczeniu Leony markiz usłuchał. Puścił dziewczynę wpatrując się w obnażone ostrze z przerażeniem w oczach.

- Nie... ranić... - odezwał się zmienionym głosem. - Nie... ranić... bardzo... boli!... Odejdź!

Ze sztylitem wycelowanym w szaleńca lord Strathcairn przysuwał się coraz bliżej, dopóki Leona nie zdołała uchwycić się jego wolnej dłoni konwulsyjnym ruchem. Markiz zaś, cofał się jak zahipnotyzowany ze wzrokiem wbitym w połyskującą w słońcu śmiertcionośną broń. Cofał się krok za krokiem. Gdy lord zorientował się, co się święci i opuścił nóż, markiz znalazł się już na krawędzi dachu wieży. Pochylał się do tyłu tuż przy wycięciu blanków. Poślizgnął się, a może to ciężar wielkiego nieforemnego ciała spowodował, że stracił równowagę. Dość że na oczach sparaliżowanej strachem dziewczyny runął na dziedziniec. Przez chwilę widać było jego wyrzucone w górę ramiona niczym skrzydła drapieżnego ptaka. W sekundę zniknął z pola widzenia.

Leona nie mogła krzyczeć ani oddychać... wiedziała tylko, że świat ogarnęła nagle ciemność...

Oprzytomniała, unoszona w ramionach tego, przy którym czuła się bezpieczna i - wbrew wszystkiemu - szczęśliwa. Przez chwilę nie pamiętała niczego poza tym, że znalazła się wreszcie tam, gdzie pragnęła.

Gdy zeszli na dół; usłyszała głosy i kroki w korytarzu. Nadchodzili ludzie.

- Przynieście brandy! - rozkazał lord Strathcairn.

Tuląc Leonę do piersi wniósł ją do gabinetu księcia i posadził ostrożnie na kanapie. Wczepiła się w niego nie pozwalając mu się odsunąć.

- Już dobrze, kochanie - powiedział - już po wszystkim.

Szepnęła coś niezrozumiale. Uklęknął obok kanapy obejmując ją. Schowała twarz na jego ramieniu. Odgarnął jej włosy do tyłu.

- Jesteś bezpieczna - szepnął.

Służba widocznie przyniosła brandy, bo teraz trzymał szklankę przy jej ustach.

- Wypij to, mój skarbie - polecił,

Przypomniała sobie, jak ksiązę kazał jej pić brandy poprzedniej nocy. Poczowała ciepło rozchodzące się po całym ciele. Pokrzepiona nieco, zapytała z wahaniem:

- Czy ksiązę... nie żyje?

Lord Strathcairn rzucił pytające spojrzenie majordomowi stojącemu obok. Sługa odezwał się:

- Obawiam się, że tak, wasza lordowska mość. To nie tylko z powodu tej rany w piersiach, ale jego wysokość spadł ze szczytu schodów.

Leona starała się stłumić uczucie ulgi. Miała wciąż przed oczyma wyraz bezgranicznego zdumienia na twarzy starca, gdy syn przebił go mieczem. Wydawało się jej nieprawdopodobne, aby życie po straszliwych wypadkach,

których była świadkiem, mogło toczyć się dalej normalnym trybem.

Jakby czytając w jej myślach, lord Strathcairn zapytał:

- Czy czujesz się na tyle silna, by móc stąd odjechać? Przypuszczam, że nie masz ochoty tu zostać.

- Zabierz mnie stąd, proszę! - rzekła błagalnie. Lord Strathcairn oznajmił:

- Zabieram pannę Grenville do zamku Cairn. Pojedziemy przez wrzosowiska, bo tamtędy droga krótsza. Proszę spakować wszystkie rzeczy panny Grenville i wysłać natychmiast główną drogą.

- Tak jest, wasza lordowska mość - potwierdził majordom tonem pełnym respektu.

Lord Strathcairn pochylił się, wziął Leonę na ręce i zniósł ją do wielkiej sieni przy wejściu. Zamknęła oczy, nie tylko dlatego że wolałaby więcej nie oglądać zamku Ardness, ale także bojąc się widoku czegoś jeszcze gorszego - trupa księcia i jego syna.

Lord posadził ją bez słowa na koniu stojącym u drzwi frontowych. Sam usadowił się za nią, tak jak tego dnia, gdy spotkali się po raz pierwszy. Ruszyli przy milczącej asyście majordoma i służby. Z podjazdu skręcili na wrzosowiska. Gdy zostawili zamek daleko w tyle, Leona podniosła głowę i spojrzała na Strathcairna. Ujrzała nieco kanciasty, męski podbródek i - jak się jej wydawało - lekki uśmieszek na wargach. Posuwali się powoli w górę zbocza i kiedy już prawie dotarli do szczytu, Leona zapytała:

- Jak zdołałeś wspiąć się na wieżę?

- Powiedziałem ci, że będę cię chronić, nawet jeśli miałbym się wdrapać do nieba albo zstąpić do wnętrza ziemi.

- Mogłeś się zabić...

- Ale jestem cały i zdrowy. Tak jak ty, kochana. Po chwili milczenia Leona odezwała się cichutko:

- Dziś rano szłam do zamku, aby prosić cię... o pożyczkę mi pieniędzy na powrót do domu.

- Czy tego właśnie pragniesz?

- To będzie najlepsze wyjście!

- Sądziłem, że moglibyśmy pobrać się dziś wieczorem.

Zesztywniała w jego ramionach, po czym wyrzekła ledwie dosłyszalnie:

- Książę powiedział mi, że jesteś... żonaty!

Lord Strathcairn nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

- Uwierzyłaś mu? - zapytał wreszcie.

- Powiedział, że ożeniłeś się z aktorką,

- Myślałem, że mnie kochasz.

- Kocham! - odparła Leona bez zastanowienia. - Kocham cię, ale...

Głos zamarł jej w gardle.

- Ale byłaś gotowa uwierzyć, że mówiłem o miłości, że trzymałem cię w ramionach, że całowałem nie mając do tego prawa?

Wstrzymała oddech. Ogarnęło ją wspaniałe, cudowne uczucie, które przegnało nieznośny żal z jej serca.

- Czy to.., nieprawda? - zapytała patrząc mu w oczy.

- Sądziłem, że mi ufasz.

- Chciałam... Marzyłam o tym... ale nie prosiłeś mnie nigdy o rękę.

- Myślałem, że zrozumiesz, iż jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Zatem książę oszukał mnie!

- Tak, kochanie - odparł lord Strathcairn. - Jak większość kłamstw, jego słowa miały pewne pozory prawdy i należy to uznać za okoliczność łagodzącą.

- Wzięłam jego słowa za prawdę.

- Powiedziałbym ci o tym, gdyby przyszło mi do głowy, że przeszłość może mieć takie znaczenie. - Spojrzał na nią. Jej oczy wyrażały błaganie.

- Jakie znaczenie? Myślałam, że cały świat się wali - wyszeptała. - Pragnęłam wierzyć w twoją miłość, ale książkę był tak pewien swego. Myślałam, że skoro nie prosiłeś mnie o rękę, to dlatego że nie mogłeś.

- Od chwili kiedy cię ujrzałem - odparł lord Strathcairn - wiedziałem, że należysz do mnie i że to na ciebie czekałem. Powinienem powiedzieć ci o tym pierwszego wieczora, kiedyśmy razem jedli kolację, ale bałem się.

- Bałeś się? - zapytała Leona.

Głęboko wciągnął powietrze. Dojechali do szczytu wzgórza. Zatrzymał konia obok kopca. W dole rozciągało się wrzosowisko, a dalej złociło się w słońcu jezioro. Ponad nim wyrastał zamek Cairn.

- Kiedy byłem bardzo młody i studiowałem w Oksfordzie - powiedział spokojnie - zakochałem się. Nie w aktorce teatralnej, ale w śpiewaczce obdarzonej bardzo pięknym głosem. Była starsza ode mnie, ale sadziłem, że mnie kocha. Zapewniała mnie o swym uczuciu. Zabrałem ją do zamku.

Leona poczuła przyływ zazdrości. Czekwała z oczami utkwionymi w jego twarzy.

- Powiedziałem rodzinie i wszystkim znajomym, że jesteśmy zaręczeni. Isobel wydawała się zachwycona moim domem i Szkocją.

Zacisnął usta. Gdy podjął na nowo opowieść, Leona usłyszała jakby nutkę cynizmu w jego głosie.

- Byłem bardzo młody i bardzo łatwowierny. Odkryłem, że bardziej niż ślubu ze mną, Isobel wolała nieprzeparowane pokusy południa. Nie miała zamiaru pogrzebać się za życia w ponurym szkockim zamku mając męża za jedynego słuchacza.

Leona poruszyła się, ale nie wyrzekła ani słowa. Nie wiedziała, co mogłaby w tej sytuacji powiedzieć.

- Oddałem ją światu, do którego należała - ciągnął lord Strathcairn - ale ponieważ byłem młody i dumny, nie przyznałem się nikomu, nawet ojcu, że zaręczyny zostały zerwane.

Popatrzył na Leonę z uśmiechem.

- Teraz wydaje się śmieszne i głupie, że moja próżność sprawiła ci tyle bólu, mój najdroższy skarbie.

- Dlaczego zatem księżę myślał, że jesteś żonaty? - zapytała Leona.

- Sądzę, że wielu ludzi tak myślało - odparł lord. - Wyobrazili sobie, że poślubiłem Isobel na południu, a jej profesja tam ją zatrzymała. Ponieważ nie chciałem wyznać prawdy, nigdy nie zaprzeczyłem pogłoskom o rzekomym ślubie. - Zaśmiał się lekko. - Być może nie zrobiłem tego wówczas, bo sądząc, że jestem żonatym mężczyzną nie interesowano się mną zbyt w sąsiedztwie. Bez względu na powody, faktem jest, że pozwoliłem, aby plotkowano. Teraz mam za swoje, bo przez głupotę zraniłem ciebie.

- Zamierzałam rozstać się z tobą na zawsze... - szepnęła Leona.

- Sądziłeś, że pozwoliłbym ci uciec ode mnie? - zapytał. - Jechałem do zamku Ardness, aby oznajmić księciu, że zamierzam cię poślubić, a gdyby odmówił - porwać cię.

- Wiesz, że byłabym na to gotowa - powiedziała Leona. Jej oczy lśniły.

- Pewnie nie zdołalibyśmy tego uczynić - dodała po chwili ogarnięta wątpliwościami - bo księżę byłby w stanie nam przeszkodzić.

- Teraz nic już nam nie robi - powiedział Strathcairn. - Pobierzemy się dzisiaj wieczór, a potem nikt i nic nas nie rozdzieli.

- Jesteś pewien, że tego pragniesz? - zapytała Leona. W jego oczach wyczytała tyle miłości, że słowa nie były już potrzebne. Ich usta odnalazły się ponownie, Leona wpadła w radosną, ekstazę, tak jak wtedy gdy całowali się po raz pierwszy w jaskini.

Rozdział 7

Do uszu Leony docierały słabe odgłosy krzątania w pokoju. Wracła do świadomości, jakby przedzierając się przez gęstą mgłę. Przypomniała sobie nagle, że znajduje się w zamku Cairn. Nic jej nie groziło i czekał ją ślub z lordem Strathcairem! Ogarnęło ją cudowne ciepło, jakby skąpały ją promienie słońca. Otworzyła oczy i ujrzała panią McCray i służące przygotowujące kąpiel przed kominkiem.

Wydawało się, że wieki minęły od poranka, kiedy przybyli do zamku. Dopiero gdy lord Strathcairn zdjął ją z konia, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona. Poprzedniej nocy prawie nie spała, śmiertelnie przerażona uciekła do jaskini ukrytej za wodospadem, a na koniec porwał ją jeszcze i wniósł na wieżę oszalały markiz. Na skutek tych wszystkich przeżyć siły opuściły ją zupełnie. Pomimo wyczerpania dręczyło ją wciąż pytanie, czy koszmar naprawdę się skończył i czy nie musi się już bać.

Lord Strathcairn, widząc jej stan, wniósł ją po schodach, tak jak wówczas, gdy zjawiała się w zamku po raz pierwszy.

- Chcę, żebyś teraz spała, kochanie - powiedział łagodnie. - Chcę, żebyś o wszystkim zapomniała, nie myślała o niczym poza tym, że cię kocham!

Zaniósł ją do sypialni. Pani McCray i Maggy podbiegły, aby pomóc jej się rozebrać.

Musiała najwidoczniej przespać cały dzień i chociaż czuła się pokrzepiona, żałowała, że tak wiele czasu straciła na sen zamiast cieszyć się towarzystwem lorda Strathcairna. Nagle przypomniała sobie; powiedział, że tego wieczoru wezmą ślub. Na myśl o tym poderwała się z łóżka.

- Nie śpi już panienka? - spytała pani McCray ciepłym głosem, który Leona tak dobrze pamiętała. - Przywieziono pani suknie. Już je rozpakowałyśmy. Maggy i Janet przyniosą je po kąpieli.

Kiedy służące wyszły, pani McCray zbliżyła się do łóżka ze słowami:

- Mam dla panienki wiadomość od lorda,

- Cóż to takiego? - zapytała Leona.

- Lord mówi, że zanim panienka zdecyduje się włożyć do ślubu którąś z sukien z Ardness, to niech przedtem obejrzy suknie ślubne, jakie mamy tu, w zamku. - Suknie ślubne?! - wykrzyknęła Leona.

- Tak, panienko, odparła pani McCray. - Zgodnie z tradycją od pokoleń przechowujemy suknie ślubne żon wodzów. Jest ich dużo i trzymamy je w szafach w osobnym pokoju. Doglądam ich i pilnuję, żeby mole ich nie uszkodziły.

Leona trwała przez moment w bezruchu. Uświadomiła sobie nagle, że nie chciałaby brać ślubu z lordem Strathcairem w sukni, za którą zapłacił książe. Byłoby niemądrze w ogóle z nich zrezygnować i nie nosić przy różnych okazjach, ale suknia ślubna to coś wyjątkowego, niecodziennego.

- Dziękuję, pani McCray. Chętnie je obejrzę. Ale skądże lord mógł wiedzieć, że tego właśnie pragnę? - dodała prawie niedosłyszalnie.

Pani McCray uśmiechnęła się.

- Jeszcze się panienka nie przekonała, że nasz lord jest jasnowidzem.

- A jest? - zdumiała się Leona.

- Od małego szkraba lord wiedział, co inni ludzie myślą i czują. A czasami miewa widzenia i wie, co się zdarzy w przyszłości.

- Matka mówiła mi, że wielu Szkotów ma „wewnętrzne spojrzenie”.

- O, tak - zgodziła się pani McCray - to prawda. A teraz, panienko, czy mam przynieść trochę sukien, żeby panienka mogła je obejrzeć?

- Jest pani bardzo uprzejma, pani McCray.

Później gdy przywdziała suknię, która jak jej powiedziano, należała do babki lorda Strathcairna, pomyślała, że w żadnej innej nie byłoby jej tak do twarzy. Panna młoda w 1785 r. wybrała suknię, która gdyby nie brak krynoliny niewiele by się różniła od tych, jakie obecnie były w modzie. Miała szeroką spódnicę i obcisły gorset ozdobiony koronkami i do tego wspaniały welon. Pani McCray wniosła ów skarb z należytych uszanowaniem. Welon udrapowano na zdobnej w złociste loki głowie dziewczyny. Całość zwieńczono brylantowym diademem, którego dekoracyjnym motywem były osty. Taki diadem nosiły od wieków małżonki wodzów klanowych. Jasnowłosa i niebieskooka Leona wyglądała jak istota nie z tego świata. Miała nadzieję, że lord Strathcairn porówna ją znowu do mgły unoszącej się nad jeziorem. Trzymała bukiet z białych ogrodowych róż. Lord Strathcairn powiedział jej kiedyś, że przypomina mu pączek białej róży.

"Spraw, Boże, abym zawsze była w jego oczach taka czysta i doskonała", modliła się. Zalekniona ruszyła korytarzem w stronę jego pokoju. Kochała go. Miłość przepełniała jej serce. Bliski ślub wydawał się jej czymś nierealnym. Zarazem jednak, teraz kiedy zakończył się dramat, w którym oboje uczestniczyli, zdała sobie sprawę, że w gruncie rzeczy niewiele wiedzieli o sobie nawzajem. Czuła się bardzo młoda i niedoświadczona. Lord Strathcairn był od niej dziewięć lat starszy. Szlachcic i szef klanu, posiadał ogromne ziemie i posłuch u swego ludu. „A jeśli zawiodę go?", zadała sobie pytanie i pełna obawy spojrzała na niego zatroskanym wzrokiem. Przyglądał jej się w milczeniu.

- Brak mi słów, kochana, aby ci powiedzieć, jaka jesteś piękna!

Zadrżała lekko.

- To było szlachetne z twojej strony, że pozwoliłeś mi włożyć suknię swojej babki!

- Sądzę, że gdyby wiedziała o tym, byłaby z ciebie równie dumna jak ja!

- Czy naprawdę tak myślisz?

- Przed nami wiele lat, w ciągu których przekonasz się, ile dla mnie znaczysz i jak bardzo cię kocham - odparł lord. - Teraz jednak, moje serce, czeka na nas pastor, a ja chciałbym, abyś wreszcie została moją żoną,

Podał Leonie ramię i poprowadził w stronę schodów. Domyśliła się, gdzie odbędzie się ceremonia. Jakie miejsce mogło być odpowiedniejsze aniżeli „komnata wodza”, pełna wspomnień z przeszłości rodu McCairnów, gdzie klan zbierał się w czasach zwycięstwa albo klęski, gdy sprzyjało szczęście lub gdy los się odwracał. Szli na górę nie rozmawiając już ze sobą, Leona zauważyła, że Strathcairn unikał dotknięcia jej w jakikolwiek sposób. Wiedziała, że pragnął tego, widziała światło w jego oczach, czuła, że jego serce bije równie gwałtownie jak jej własne. Oboje jednak myśleli teraz o czekającej ich uroczystości.

Drzwi „komnaty wodza” były otwarte. Wokół sali, pod ścianami, stali członkowie klanu w barwnych spódniczkach i z pięknymi sporrkami - wyłącznie mężczyźni. Ogromną podłużną salę udekorowano wrzosem, którego pęki zatknięto we wszelkich możliwych miejscach, nawet przy broni wiszącej na ścianach i nad obrazami. Wystrój sali miał symbolizować Szkocję. W odległym końcu czekał pastor w czarnej sutannie. Z tyłu za nim rozstawiono wielkie misy z białym wrzosem. Leona pomyślała, że musiano zrywać go przez cały uprzedni dzień.

Powoli, dumnie, lord Strathcairn wiódł ją przez całą długość komnaty, dopóki nie stanęli przed pastorem o siwych włosach i miłej twarzy. Kapłan otworzył księgę i zaczęło się

nabożeństwo. Proste słowa, które na zawsze złączyły ją z ukochanym mężczyzną, wryły się w pamięć i serce Leony. Chłoneła je całą duszą modląc się o to, by móc uczynić swego męża szczęśliwym i dać mu synów równie wspaniałych, jak on sam. Uklękli przed pastorem i ujęli się za ręce. Lord Strathcairn wsunął jej pierścionek na palec. Po otrzymaniu błogosławieństwa podnieśli się z kolan i Strathcairn chwycił żonę w objęcia. Ucałował ją czule i delikatnie. Rozbrzmiały kobzy. Ruszyli z powrotem wśród głośnych wiwatów. Kobziarz poprowadził ich w dół, schodami do salonu. Służący zamknął drzwi. Zostali sami. Przez chwilę patrzyli na siebie. Potem lord Strathcairn wyciągnął ramiona i Leona przytuliła się do niego namiętnie.

- Moja żona! - wykrzyknął.

W tych słowach zawarł całą swoją miłość.

- Pobraliśmy się... Naprawdę! - szepnęła.

W jej głosie słyhać było ulgę, ale i egzaltację. Po tym wszystkim, przez co przeszła, bała się, że w ostatniej chwili jakaś przeszkoda, uniemożliwi ślub. Sądziła, że straciła go, kiedy książę powiedział jej, że lord Strathcairn jest żonaty. Mógł też zginąć, gdy wspinał się na wieżę. Zadrżała na myśl o tym, co by się stało, gdyby markiz nie przestraszył się ostrza sztyletu.

To wszystko należało już do przeszłości. Czekala ich wspólna przyszłość i tylko o tym chciała myśleć. Lord Strathcairn pociągnął ją do okna. Zobaczyła, jak promieniste słońce zachodzi za połyskującą taflą jeziora i jak mrugają urokliwe światelka na wzgórzach.

- Oto twoje królestwo, mój skarbie - rzekł. - Jesteś królową mego serca.

- Musisz pomóc mi postępować dobrze i zgodnie z twymi życzeniami - powiedziała cicho.

- Wszystko w tobie jest doskonałe! - odparł. - Ale czy będę w stanie dać ci to, na co zasługujesz?

Rozumiała, że w głębi jego duszy tli się jeszcze bolesne wspomnienie Isobel, która wybrała południe. Pragnęła, aby wiedział, że w jej wypadku takie obawy są bezpodstawne. Podniosła twarz ku niemu.

- Wszystko, czego żądam od życia - powiedziała miękko - to być z tobą. Nieważne, czy zamieszkamy w zamku, czy w chatynce przycupniętej u stóp wzgórza. Jedyne, na czym mi zależy, to nie rozłączać się z tobą, należeć do ciebie. Tak jak należę do ciebie w tej chwili.

Jego oczy rozświeciły się nadając twarzy inny wyraz. Przyciągnął ją mocno do siebie i całował do utraty tchu, niemal do utraty świadomości.

Służący oznajmił, że kolacja gotowa. Przeszli do jadalni o czerwonych zasłonach, które Leonie bardzo się podobały.

Wniesiono potrawy. Kuchmistrz prześcignął tym razem samego siebie. Było tam nawet lukrowane ciasto weselne, ponieważ, jak z uśmiechem powiedział lord Strathcairn, żadne wesele nie mogło się bez niego obyć. Mimo że tyle mieli sobie do powiedzenia, gdy spotykały się ich oczy, słowa nie były potrzebne. Serce przemawiało do serca, dusza do duszy. Szczęście spowijało ich niczym świetlisty welon. Dopiero gdy służba usunęła się, a lord Strathcairn zasiadł wygodnie na swym fotelu z wysokim oparciem ze szklaneczką porto pod ręką, Leona odezwała się:

- Nie będziemy o tym rozmawiać za często, ale strasznie jestem ciekawa, dlaczego markiz urodził się upośledzony.

Lord Strathcairn milczał przez chwilę, po czym odparł:

- Jest zapewne jakieś medyczne wyjaśnienie, czy ja wiem. W Szkocji jednak wszyscy uznają, że to, co wydarzyło się w Ardness, było wynikiem klątwy!

- Klątwy?! - wykrzyknęła Leona.

- Nie chciałem mówić ci o tym wcześniej - odrzekł - bo to mogłoby cię tylko przygnębić, ale od dwustu lat na księżętach Ardness ciąży klątwa!

- Dlaczego? - zapytała Leona. - Kto ją rzucił? Lord Strathcairn pociągnął łyk portu, zanim rozpoczął opowieść.

- Grupa ludzi z Ross wprowadziła pewnej nocy statek do portu. Morze było wzburzone i nie mogli żeglować dalej. Prosil szefa klanu, aby pozwolił im przejść przez Ardness do ich rodzimego hrabstwa i wrócić, gdy żywioł się uspokoi.

Leona słuchała z szeroko otwartymi oczyma.

- Otrzymali pozwolenie. Wojownicy zeszli na ląd dźwigając bogate łupy, jako że szczęście sprzyjało im podczas wyprawy.

- Jak wielu ich było? - zapytała Leona.

- Sądzę, że około piętnastu czy dwudziestu - odparł lord Strathcairn. - Zmrok zapadał, gdy ruszyli doliną. Szef i członkowie klanu złakomili się na bogactwa i zaczęli na ludzi z Ross. Gdy ci dotarli do połowy doliny, napadli na nich.

- To okropne! - zawołała Leona.

- Pogwałcili w okropny sposób zasady przyzwoitości i gościnności - zgodził się lord Strathcairn. - Obrabowawszy ich doszczętnie, zakopali ciała przy drodze i wrócili do zamku Ardness.

- Zabito wszystkich? - zapytała Leona. - Nie uchował się nikt, kto by mógł opowiedzieć tę historię?

Lord Strathcairn potrząsnął głową.

- Nikt - odparł - ich żony, narzeczone i wódz klanu na próżno czekali na ich powrót.

- A statek?

- McArdnowie przywłaszczyli go sobie, ponieważ, jak twierdzili, za długo stał w porcie i nikt się o niego nie upomniął.

- Ależ to kradzież.

- Masz rację - przyznał lord Strathcairn.
- W jaki sposób odkryto, co się naprawdę stało?
- Minęło pięć lat - odrzekł - zanim bard obdarzony „wewnętrznym spojrzeniem” oznajmił klanowi Ross, że słyszy głosy zaginionych wojowników domagające się zemsty.

- Posłuchano go?
- Tak, ponieważ nie tylko pewien był, że tych ludzi zamordowano, ale umiał też opisać miejsce, gdzie spoczywały ich ciała.

Leona głęboko westchnęła.

- I znaleziono ich? - zapytała.
- Pewnej nocy wojownicy z Ross zakradli się potajemnie, pod wodzą barda, na ziemi Ardness i, zgodnie z jego wskazówkami, wykopali szkielety w dolinie.

- Jakie to straszne! - wykrzyknęła Leona. - Dlatego McArdownie zostali przeklęci?

- Nie cały klan - sprostował lord Strathcairn - ale przywódca, odpowiedzialny za postęпки swoich ludzi. Mając nad nimi prawo życia i śmierci odpowiadał za ich czyny, a w tym wypadku postąpił równie zbrodniczo jak oni!

Jego głos zabrzmiał donośniej, gdy dodał:

- Moim zdaniem w pełni zasłużył na karę, jaka go spotkała.

- Jakie to było przekleństwo? - zapytała Leona.

- Bard, stanąwszy twarzą w stronę zamku Ardness, wezwał niebo na świadka, że ludzie, którzy przybyli jako przyjaciele w pokojowych zamiarach, zostali bestialsko zamordowani.

Lord Strathcairn przerwał.

- Musiał wyglądać imponująco. Bardowie są zwykle wysocy, o długich siwych włosach i dźwięcznym głose.

Leona ujrzała tę scenę oczyma wyobraźni.

- Tak więc, bard przeklął wodza McArdnów po wsze czasy, nakładając nań sprawiedliwą karę za zbrodnię, jakiej się dopuścił.

- Jakaż to była kara? - zapytała Leona. Drżała na myśl o tym, co usłyszy.

- Bard przepowiedział, i od tamtej pory jego słowa sprawdzają się, że żaden wódz McArdnów nie umrze naturalną śmiercią

- I tak było rzeczywiście?

- Poprzedni ksiązę zginął w Paryżu, w pojedynku z kochankiem swojej żony. Jego ojciec został zabity przez sługę, którego złapał na kradzieży.

- A jeszcze wcześniej? Lord Strathcairn machnął ręką:

- Nie pamiętam, co przydarzyło się im wszystkim, ale przepowiednia sprawdzała się za każdym razem.

- Taka jest zatem Tajemnica Doliny! - powiedziała Leona.

- Kiedy ujrzałam ją po raz pierwszy, wydała mi się ponura i nabrzmiała grozą.

- Przekleństwo wisiało także nad tobą, mój skarbie. Nigdy tego nie zapomnę - powiedział Strathcairn i wyciągnął rękę przez stół, a Leona wsunęła w nią swoją dłoń.

- Czy uspokoję cię - zapytał - zapewnieniem, że o ile mi wiadomo, żadna klątwa nie ciąży na wodzu, który jest dzisiaj najszcześniejszym z ludzi?

- Wiem, że nigdy nie postąpiłbyś nieuczciwie.

- A jednak podejrzewałaś, że tak właśnie postąpiłem.

- Wybacz mi - powiedziała błagalnie. - Proszę, wybacz.

Uniósł jej dłoń do ust, całując wpierw wewnątrz, a potem każdy paluszek z osobna.

- Nie będziemy mieli czego sobie wybaczać - rzekł. - Rozumiemy się doskonale. Stanowimy jedność. - Jego oczy lśniły, gdy to mówił. Z wysiłkiem, jak wydawało się Leonie, dodał: - Masz za sobą długi i męczący dzień, moja najdroższa.

Powinnaś odpocząć. Wzruszenia, jakich doznaliśmy, nadwątlily nasze zdrowie i siły. - Podniósł się i przyciągnął Leonę do siebie. - Przyjdę, aby życzyć ci dobrej nocy - powiedział głębokim głosem. - Przed nami całe życie, do woli będę mógł mówić ci o tym, jak bardzo cię kocham i jaka jesteś piękna!

Wydawał się mówić bardziej do siebie niż do niej. Stosując się do jego życzenia, udała się do sypialni, gdzie czekała już na nią pani McCray. Gospodyni miała łzy w oczach.

- Och, nie widziałam panny młodej o piękniejszej i słodszej buzi.

- Dziękuję, pani McCray.

- Wszyscy tego pragnęliśmy dla naszego pana. Pani da mu szczęście i nie będzie już taki samotny jak po śmierci matki.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby uczynić go szczęśliwym - powiedziała Leona.

Pani McCray otarła oczy.

- Jutro wieczorem będą tańce i wszyscy zbiorą się w „komnacie wodza”, aby złożyć państwu uszanowanie. Przełamią też placek nad waszymi głowami, żebyście żyli długo i szczęśliwie. Przyniosą podarunki.

- Podarunki? - zaciekawiała się Leona.

- Tak, są specjalnie przygotowane na tę okazję.

- A cóż to za podarunki?

- Rzeźby z kości jelenia, pióra czarnego koguta i głuszca dla lorda - pani McCray uśmiechnęła się. - A dla pani koronki i robótki na drutach; kobiety z klanu McCairnów robią je wyjątkowo pięknie.

- To brzmi cudownie! - wykrzyknęła Leona.

- I mlecznobiałe perły z rzeki - ciągnęła pani McCray - i górski ametyst.

- Jak wspaniale! Nie będę mogła się doczekać!

Pani McCray mogłaby mówić dalej. Jednakże, jakby przypomniawszy sobie polecenie, odezwała się:

- Pan powiedział, że pani powinna odpocząć, a my z Maggy przygotujemy ciepły napój, aby pani dobrze spała.

- Jestem pewna, że wyśpię się za wszystkie czasy. Pani McCray pomogła Leonie rozebrać się. Dziewczyna włożyła jedną z nocnych koszul przysłanych z Edynburga. Uczesała się i położyła do łóżka.

Pani McCray rozpałała na kominku, postawiła ciepły napój przyniesiony przez Maggy obok łóżka i zgasła świece, po czym skłoniła się. Rzekła z serdecznością nie mającą w sobie nic z obłudy;

- Niech Bóg panią błogosławi. Wniosła pani szczęście do zamku!

Wyszła z pokoju z oczyma pełnymi łez. Leona wsparła się na poduszkach. Blask ognia wypełniał komnatę złocistą poświatą. Drzwi się otworzyły i wszedł lord Strathcairn w jedwabnej szacie. Wydał się jej bardzo wysoki i władczy. Nie czuła jednak najmniejszej obawy. Uśmiechnął się, przysiadł na brzegu łóżka i ujął jej dłoń. Patrzyli na siebie. Oczy Leony wydawały się ogromne w jej maleńkiej twarzyczce, a włosy lśniły w blasku płomieni.

- Ślub zawarliśmy w pośpiechu - rzekł po chwili Strathcairn. - Chciałem, kochanie, móc się tobą opiekować, a poza tym byłoby niestosowne, gdybyś przebywała w zamku nie będąc moją żoną,

- Byłam już tu przedtem.

Z trudem skupiała się na jego słowach, gdyż dotyk jego ręki budził w niej nieznane dotąd uczucia. Najbardziej na świecie tęskniła teraz za jego pocałunkiem.

- Odkąd cię ujrzałem, wiedziałem, że nie ma drugiej takiej kobiety, jak ty - powiedział. - Serce niemal wyskoczyło mi z piersi, bo ty byłaś obok.

Uśmiechnął się.

- Ponieważ byliśmy sobie obcy, zdołałem zachować się jak przystoi. Teraz przychodzi mi to z dużo większym trudem.

Leona milczała wyczekująco.

- Ponieważ kocham cię nad życie, ponieważ ślubowałem nie tylko służyć ci, ale i otaczać opieką tak w zdrowiu, jak i w chorobie, dziś w nocy zamierzam zostawić cię w spokoju - mówiąc to westchnął głęboko. - Jak już mówiłem - podjął - całe życie przed nami, abym mógł okazać ci swoją miłość.

- Ale dzisiaj był nasz ślub - odezwała się Leona niepewnie.

- Tego dnia nie zapomnę nigdy - odparł lord. - Będziemy go obchodzić uroczyście co roku aż do złotego wesela.

Zamilkli znowu. Jego palce zacisnęły się na jej dłoni sprawiając ból.

- Gdy cię ujrzałem po raz pierwszy - odezwał się ochryple - pomyślałem, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem. Kiedy podeszłaś do mnie w sukni ślubnej, pomyślałem, że żadna kobieta nie byłaby w stanie ci dorównać. Nawet teraz, w tej chwili, nie znajduję słów, które mogłyby oddać twą urodę.

Leona zadrżała słysząc pożądanie w jego głosie. Wiedziała, że jej pragnie, że z ogromnym trudem panuje nad sobą, aby jej nie pocałować, nie dotknąć. Nagle uwolnił jej rękę i wstał z łóżka.

- Muszę cię pożegnać, Leono - powiedział. - Gdybyś mnie potrzebowała, jestem w pokoju obok. Usłyszę, gdy zawołasz.

Leona zauważyła teraz, że w głębi pokoju były jeszcze jedne drzwi. Wyczerpana i przejęta ceremonią zaślubin nie

zwróciła uwagi na to, gdzie się znajduje. Ta sypialnia różniła się od „komnaty ostów”. Była większa, wspanialej urządzona, z pięknie rzeźbionym kamiennym kominkiem. Narzutę na łóżko i zasłony okienne uszyte z różowego aksamitu zdobił herb Strathcairnów. Domyśliła się, że pokój ten należał tradycyjnie do żon wodzów. Wydawało jej się, że w tym miejscu, pełnym historycznych wspomnień, panuje szczególna atmosfera miłości, poświęcenia i wiary.

Lord Strathcairn wpatrywał się przez chwilę w ogień. Potem skierował się powoli ku drzwiom swojej sypialni. Prawie do nich dotarł, gdy Leona zawołała nagle;

- Torquil!

Zatrzymał się i spojrzał wyczekująco.

- Jest coś... co chciałabym ci powiedzieć. Zawrócił w stronę łóżka z ociąganiem, jakby obawiał się samego siebie. Opadła na poduszki. Długie złote włosy okalały jej twarz, a oczy błękitniały w świetle ognia.

- O co chodzi, Leono?

- Chciałabym cię o coś zapytać.

Podszedł bliżej, górując nad nią sztywno wyprostowany. Wydawał się prawie groźny, ale nie bała się. Nieomylny instynkt podpowiadał jej, że czuł dokładnie to, co ona.

- Czy mógłbyś podejść trochę bliżej?

Pochylił się, a Leona wyciągnawszy ku niemu ramiona szepnęła:

- Czy nie pocałujesz mnie na dobranoc?

Wahał się przez chwilę. Leona zarzuciła mu ręce na szyję przyciągając go do siebie, aż wreszcie ich usta spotkały się. Wiedziała, że jej ukochany stara się nie stracić panowania nad sobą, ale to było tak, jakby pękła zapora na rzece i nic nie mogło powstrzymać żywiołu. Całował ją dziko, namiętnie, gwałtownie. Całował usta, oczy, policzki, delikatną szyję, aż zadrżała odkrywając świat zupełnie nowych dla siebie doznań.

- Kocham cię, Boże, jakże cię kocham - wyszeptał. Pocałował ją znowu, jakby wyrwać chciał duszę z jej ust.

Całował ją, póki nie odpowiedziała z tą samą dziką namiętnością.

- Kocham cię! Kocham cię!

- Mój skarbie, kochanie, moja żono! - Był to okrzyk triumfu, okrzyk wojownika, zdobywcy, który zwyciężywszy w walce, otrzymuje pożądaną nagrodę. A potem, gdy płomienie przygasły, w komnacie słychać było tylko ciche szepty miłosne i muzykę wiatru hulającego nad jeziorem i wygrywającego wieczną chwałę Szkocji.